PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Rękopisów redakcja nie zwraca.

RELIGJA I MORALNOŚĆ

Pro Christo!

Do szkoły...!

Pociągi przepełnione... Ścisk i gwar w wagonach, na dworcach kolejowych... Na ulicę jakieś nowe życie wstępuje. Przypłynęła olbrzymia fala młodzieży szkolnej, tego, co najdroższe ma Polska, niedalekiej przyszłości Narodu, podchorążówki przyszłych działaczów wielkich na wszelkich polach, czy cichych pracowników w ustroniach domowych.

Młodzi ludzie wszelkiego typu, od dzieci począwszy, skończywszy na dorastających już bohaterach ławy szkolnej, o charakterach i zdolnościach już jasno się zarysowujących, o przeróżnym wyglądzie twarzy i całej postaci... dziesiątki, a raczej setki tysięcy, a nawet miljony, jeśli weźmiemy pod uwagę i tych najmłodszych, tych ziaren gorczycznych, tego posiewu przyszłości, zapełniło mury szkolne, z szumem i hałasem bujnej młodości, rozedrganej jeszcze letnią swobodą, z jej powietrzem, wodą i słońcem gorącem... Bodajby im tego nigdy nie zabrakło w życiu, tyle stamtąd bije na nich potęgi, życia i radości...

Zawarły się znowu za nimi bramy szkolne... wchłonęły ich mury, ogarnęła znowu atmosfera pracy i codziennego trudu, spiętrzyły się stosy książek i zeszytów.

Gdyby tak można było spojrzeć z jakiej podniebnej wysokości na ziemię naszą polską i objąć wzrokiem jednocześnie te wszystkie kuźnice ducha i ciała Narodu i całej jego przyszłości, jakżeż potężny w swym ogromie wysiłku przedstawiłby się nam widok!

Każdy ruch, każde słowo, rzucane w ten szary uczący się tłum i zapadające głęboko w jego duszę — to jakby uderzenia dłuta i młotu w twardą granitową bryłę, z której, pod tchnieniem genjuszu powstają nowe kształty na obraz i podobieństwo idei mistrza—rzeźbiarza—wychowawcy.

I radość niewypowiedziana wstąpiłaby w duszę, a zarazem spadłaby na nią troska głęboka i głęboką bruzdą zarysowałaby się na czole naszem, już może innemi bruzdami zoranem, na myśl, że oto płynie godzina za godziną, dzień za dniem tej pracy rzeźbiarskiej, a każdy ich moment decyduje o przyszłości, ba! może i o wieczności każdego z tych istnień zosobna i całych przyszłych pokoleń razem...

Wiemy, że nie brak nam mądrych nauczycieli i profesorów, wiemy że ich zasób wiedzy i metody nauczania — choć, jako rzecz ludzka, nie są jeszcze ostatniem słowem doskonałości, — ale są ostatnim wyrazem wieku. Lecz — to jeszcze nie wszystko, to dopiero cząstka. Nietylko nauczyć trzeba te szeregi, garnące się do wiedzy, nietylko je nakarmić owocem myśli ludzkiej nietylko otworzyć przed niemi księgę mądrości teoretycznej, ale— nauczyć żyć, nastroić duszę, obudzić w niej wszystkie skarby, przez Boga złożone, pchnąć je do biegu przed siebie, zrównoważyć i nadać kierunek... *wychować!*

Czy wielu mamy takich prawdziwych *nauczycieli życia*, twórców nietylko ksiąg martwych, ale żywych dusz ludzkich, prawdziwych rzeźbiarzy przyszłości? A jeżeli są, czy są oni Chrystusowymi nauczycielami życia i Chrystusowymi rzeźbiarzami życia? O, bo jeżeli nie, lepiejby było, gdyby ich nie było wcale, to byłaby podwójna tragedja...!

Zasadniczym punktem w programie wychowania człowieka, obok rozwinięcia w nim wszystkich cech dobrego obywatela

Rzeczypospolitej, a raczej podstawą całego programu jest kwestja religijnego wychowania dziecka.

Tu tkwi cała istota wychowania. Bo czemże jest najbardziej „zachodnia" ogłada towarzyska, czem najbardziej szumne hasła państwowo-patrjotyczno-społeczne, czem wreszcie całe rozentuzjazmowanie młodej duszy najbardziej humanitarnemi, wszechludzkiemi ideałami, rozżarzenie do białości najszlachetniejszych, a tak bujnych porywów młodości, jeżeli ich się nie oprze na sumieniu i nie da im się podstaw nadprzyrodzonych, sięgających w nieskończoność, w wieczność, która jedynie jest niezmienną i zawsze jednakowo jaśniejącą swemi blaskami nieziemskiemi i treścią zawsze świeżą i nową, a tak porywającą umysł i serce człowieka. spragnione posiadania nieskończonej prawdy i dobra, łaknące pełnego szczęścia i radości?

Bez sankcji sumienia nie zdadzą się na nic najmędrsze prawa, statuty, regulaminy i metody—bo są one tylko mdłemi podpórkami w naszem życiu etycznem, a jeżeli nie będzie mocy wewnętrznej, z sumienia płynącej, niewiele pomogą najbardziej mądre i efektowne, ale zewnętrzne płotki i barjery. Pozostaną one nietknięte w swej sztywnej bieli, a życie. jak owa struga po ulewnym deszczu na drodze publicznej, wyleje się brudnemi kałużami i chwilowemi strumykami poza te pięknie malowane i odświeżone dżdżem słupki przydrożne, wymijając je zręcznie bez naruszenia ich granitowych podstaw, albo czasami porywając je za sobą w rów i topiąc w błocie, przed którem miały ostrzegać.

A jeśli Pan, przez Swoje wieczne prawdy i odwieczną miłość, nie zbuduje gmachu życia człowieka, próżno się trudzą i czuwają dniem i nocą najgenjalniejsi architekci i przedziwni miłośnicy piękna przyrodzonego, albowiem, jakoby na piasku budowali... i przyjdą wichry i nawałności życiowe i dom ten piękny i okazały nazewnątrz, cudo estetyki i matematyki ludzkiej i ostatni wyraz genjuszu ludzkiego, runie, albowiem braknie mu duszy, tego cementu skupiajacego wszystko w jedną caliznę, sięgającego w nieskończoność fundamentów i w nieskończoność szczytów, czego żadna skończona doczesność, choćby była najstraszliwszym kataklizmem, nie obali nigdy.

A dusza człowieka jest jak owa roślinka najczulsza, wrażliwa na każdy najmniejszy podmuch, na każde zbyt gorące lub zbyt mroźne tchnienie, na wszelki brak powietrza, słońca, cie-

nia, czy wilgotności, których musi mieć zawsze w miarę, a nigdy zadużo, ani zamało — bo zwiędnie i zamrze z przesytu lub braku, albo zostanie kaleką nieuleczalną na całe przyszłe życie i ciężarem, pasorzytem, albo nawet moralnym szkodnikiem społeczeństwa.

A przeznaczeniem jej jest być dębem mocarnym, obejmującym cieniem swych ramion szeroko rozpostartych wszystko dokoła, którego żadna zawierucha, żadna burza ani huragan nie poruszą z miejsca, a każde stworzenie znajdzie w nim i na nim oparcie nietykalne i schronisko niedosiężne i zabezpieczone, — i być słońcem wielkiem, jasnem, gorącem i promiennem, dającem życie i rozmach i radość życia każdemu stworzeniu.

Tyle w niej jest skarbów i mocy przejasnych i zwycięskich..! Kto je obudzi, rozdmucha i rozżarzy, kto je obroni przed nieumiejętną lub świętokradczą ręką profana—wychowawcy..?

„Żniwoć jest gotowe — proścież tedy Pana, by wysłał robotniki na żniwo swoje..." Swoje robotniki, jego duchem, mądrością i miłością natchnione, by nam takie dęby pełne mocy wyhodowali i takie słońca, pełne żaru i życia zapalili i by nie było już więcej za dni naszych lub w lepszej przyszłości, karłów i bladolicych, trupom podobnych kalek, schorzałych na duszy, duszących się w sentymentalizmie mdłym lub w martwej tylko formie religijnej, zabójczych w swym fanatyzmie jednostronnym lub bezdusznych i bezbarwnych, bezpłodnych i nierobów w swej obojętności i oziębłości ducha i serca zmarnowanego.

Módlmy się o tych żniwiarzy Pańskich, boskich rzeźbiarzy, dusz, nauczycieli życia, pełnego życia, naśladowców Mistrza Nazaretańskiego, który chciał, by wszyscy życie mieli i obficie mieli, by zdroje czystej radości popłynęły na cały świat, skąpany w słońcu Prawdy i Miłości Nieskończonej.

Niech ich pośle Pan, niech wyjdą na żniwo pańskie, które ich oczekuje z utęsknieniem nieśmiertelnej duszy i niech Pan błogosławi ich pracom, podwaja i potraja siły, daje błyski wieczne umysłowi i rozszerza ich serca — aby płynęło słowo Boże, a dusze krzepły i wzrastały, potężniejąc i jaśniejąc z dniem każdym, ażby świat cały w jedno wielkie, promienne, radosne się zamienił słońce.

Prośmy Pana żniwa, bo oto już nadszedł czas...

Bohdan.

Trwoga przed Bogiem.

(Dok.).

4. Nieścisłe wyjaśnienia niektórych tekstów Pisma świętego.

Pismo święte jest jakoby listem otwartym Boga do ludzi. W niem, za pośrednictwem natchnionych przez Siebie jednostek, odkrył Bóg skarb nieskończonej prawdy, przewyższającej nieraz z natury swojej ograniczoną zdolność pojmowania umysłu ludzkiego i wylał całe Serce Swoje, pełne prawdziwie heroicznej, nieskończonej miłości dla świata, a dla człowieka w szczególności. Tyle mądrości przedziwnej, subtelnej i najgłębszej, sięgającej podstaw i szczytów najzawilszych kwestyj i tyle akcentów najtkliwszej miłości, na jaką tylko zdobyć się może ten, który jest „Największym Miłośnikiem Dusz" i samą miłością (I Jan)— nie znajdziemy tego nigdzie indziej, w żadnej książce, w żadnej najgłębszej rozprawie, ani najszczytniejszym poemacie, w żadnem powiedzeniu ludzkiem, które jest tylko odbiciem skończonych zawsze, ograniczonych i bardzo wobec nich płytkich i powierzchownych myśli i uczuć ludzkich.

Pismo święte—to najwyższa epopea ludzkości, pełna tragedji i grozy, huraganowej mocy Ducha - Stworzyciela, wstrząsającego jednem swojem tchnieniem światem całym w posadach, to znowu najcudniejszej liryki, wobec której bledną wszystkie sentymenty bohaterskiego romantyzmu czy przewrażliwionych bukolik starożytnej Romy i wieku renesansu, czy baroka. Tyle siły i uczucia, tyle mądrości i prostoty żaden jeszcze nie wypowiedział człowiek.

Trzeba tylko umieć czytać te święte stronice, z wiarą i namaszczeniem, z prostotą serca i umiłowaniem dobrego Boga, a ujrzy się tam twarz Jego, pełną słonecznego blasku i łaskawego Majestatu w aureoli miłości i prawdy.

Tylko chore, niewykształcone, zakrzepłe w formie lub przewrotne umysły będą się gorszyły opisami niektórych faktów historycznych lub czytać będą, poza linjami i poza bożą w nich myślą zawartą, jakieś przerażające swoją okropnością i okrucieństwem wyroki na nieszczęśliwą ludzkość i przekleństwa, które nigdy w ustach bożych nie postały.

Lecz są, niestety, takie dusze chore, które przekreślają wszystko, co nie jest zgodne z ich anormalnemi idées fixes i przyczepiają się nieraz do cienia, fałszywie tłomaczonego, widząc w niem potwierdzenie swych chorobliwych majaczeń, nie zwracając uwagi na całość, na wszystko inne, co woła głosem wielkim o ich błędzie i histerycznej imaginacji. Zupełnie, jak dzieci, którym się zawsze w biały dzień zdaje, że z kąta każdego wygląda zły duch z rogami, bo im się tak raz przywidziało w ciemności... nic na nie nie działa, słońce ze swym uśmiechem i jasnością; rażone chorobliwą ideą nie widzą go, uciekając w strachu panicznym, w męce i trwodze przed strasznem widziadłem, które je prześladuje o każdej porze.

Tak też i tutaj. Są takie biedne, skurczone, schorowane dusze, które pozostają nieczułe na wszystkie zaklęcia Najlepszego Ojca w tym liście, pełnym miłości i zaufania, a wynajdują w nim miejsca i cytaty, napozór groźne i przestraszające, których się trzymają kurczowo i drżą z trwogi i bojaźni, choć im to sprawia mękę niewysłowioną i zatruwa każdą chwilę życia.

Nieszczęśliwa to choroba zatrutych jansenizmem dusz nieraz najpoczciwszych, którą jednak wyrzucić trzeba z organizmu, choćby je żelazem wypalać trzeba było.

Jest kilka tekstów Pisma Świętego, które te nieszczęśliwe istoty cytują z sadystyczną predylekcją, rozkoszując się swą własną męką, a które mają zgoła inne znaczenie, niż im one w swej chorobliwej imaginacji przypisują.

Wystarczy kilka klasycznych przykładów:

a) Jeden z najczęściej i triumfująco na poparcie swych chorobliwych obaw tekstów Pisma Świętego jest przez te biedne dusze cytowana zasada z księgi Ekklezjastyka: „Initium sapientiae — timor Domini" (Eccli. 1 : 16), którą dosłownie tłumaczą: „Początkiem mądrości—bojaźń boża", biorąc to wyrażenie „bojaźń" w znaczeniu „trwoga, obawa, drżenie przed sprawiedliwością bożą".

Tymczasem znaczenie tego wyrażenia jest zupełnie inne, „Timor Domini" w Piśmie Świętem nie ma wcale znaczenia „trwogi, bojaźni przed Bogiem". Jest to peryfraza, używana najczęściej w znaczeniu tego, co nazywamy ogólnem słowem „religijnością i pobożnością", oznaczająca wewnętrzne usposobienie człowieka, które sprawia, że dusza odwraca się od złego, a idzie

stale ku dobremu. „Bać się Boga”, tak nieszczęśliwie brzmiące znaczy jedynie: nienawidzieć złego i spełniać wolę bożą: „Bojaźń Przedwiecznego Boga jest nienawiścią złego” (Przypow. 8:13), „Bój się Boga i chowaj jego przykazania", (Eccles. 12:13), a Ewangelja nazywa „bojącym się Boga” (Łuk. 1:50) człowieka, który wiernie wypełnia swe obowiązki religijne.

Cytowana więc zasada z księgi Ekklezjastyka ma znaczenie właściwe: „Czcić Boga—przez oddawanie Mu kultu, którego jest godzien, przez zachowanie Jego przykazań, przez umiłowanie dobra i nienawiści złego — oto początek mądrości”, a właściwie „summum sapientiae”—„najwyższa mądrość”.

Właściwie wyrażenie to w Piśmie Świętem „timor”, które tłomaczymy przez „bojaźń", nie ma znaczenia „obawy i trwogi”, czego dowodem klasyczny tekst Ekklezjastyka: „Ego mater pulchrae dilectionis, et timoris, et agnitionis et sanctae spei...” „Oto ja matka pięknej miłości, i *bojaźni,* i poznania i świętej nadziei”—„Timor”, „bojaźń” nigdy w tak wzniosłem towarzystwie, jak: miłość, poznanie i święta nadzieja, nie bedzie miała znaczenia tej trwogi niewolniczej, najwyżej tylko „bojaźni synowskiej", pochodzącej z miłości „timor filialis”, która nie drży przed karą, ale jedynie przed możliwością zasmucenia dobrego Ojca.

Jakżeż jednak dalekiem jest, niestety, pojęcie „bojaźni synowskiej” od tych histeryczno-jansenistowskich gróźb, wywołujących ataki rozpaczy i trwogi śmiertelnej przed najlepszym z Najlepszych i Najsłoneczniejszym ze wszystkich Słońc Wszechświata.

Biedne, chore, nieszczęsne dusze...!

b) Inna jeszcze „rozkosz” tych sadystów duchowych na potwierdzenie, według nich, że zawsze, choćby się było najświętszym i najwięcej dobrego czyniącym, drżeć trzeba przed surowym sądem bożym, to tekst z księgi Ekklezjastesa 9:1: „nescit homo, utrum amore an odio dignus est”, który tłomaczą dosłownie i przyjmują, jako aforyzm powszechnie używany i jako groźbę na każdego śmiałka, ufającego bezgranicznie dobremu Bogu, choć zna swoją ułomność: „Nie wie człowiek (nigdy), czy godzien jest miłości, czy nienawiści Boga”.

Czyż Bóg może *nienawidzieć* umiłowane dzieło rąk swoich, słabego człowieka..?

Nigdy — powiadają kategorycznie — w żadnym wypadku, choćby się było u szczytu heroizmu i bohaterstwa, nie może żaden człowiek być pewnym, w jakim stanie jest jego sumienie i nie może nigdy z całą pewnością wiedzieć, czy jest w stanie łaski poświęcającej, czy już na wieki potępionym.

Choćby nawet tak należało tłomaczyć ten tekst, nie byłoby jeszcze w tem nic strasznego i przerażającego, oznaczałoby to jedynie, że nikt nie może być pewnym pewnością fizyczną, czy jest w zgodzie z Bogiem. Ale oprócz pewności fizycznej, absolutnej, jest jeszcze cała skala szeroka pewności moralnej, która może być taką, że wyklucza wszelki nawet cień jakiejś wątpliwości poważnej. Przecież nikt nie może nigdy grzeszyć, nie chcąc tego i nie wiedząc o tem, a choćby człowiek przez swą ułomność popełnił grzech nawet śmiertelny, zawsze miłosierny Pan Bóg przebaczy temu, kto z prawdziwą skruchą o przebaczenie Go prosi.

Jeżeli kto zrobił wszystko, co, sądząc rozumnie i po ludzku, było możliwem, może, a nawet ma *obowiązek* pozostać spokojnym w swojem sumieniu.

Niema więc właściwej przyczyny do niepokoju, choćby się brało bardzo potoczne i powierzchowne tłomaczenie tego tekstu. Wszelki zaś ślad niepokoju winien zginąć, jeżeli się weźmie oryginalne znaczenie tekstu, na tle poprzedzających i następnych wierszy.

„Wszystko to rozważałem w sercu swojem, by zrozumieć lepiej: oto są sprawiedliwi i mądrzy (święci) i dzieła ich w ręku Boga, a jednak człowiek nie wie, czy godzien jest miłości, czy nienawiści Lecz na przyszłość wszystko jest niepewne, gdyż jednakowy bywa los sprawiedliwego i niesprawiedliwego, dobrego i złego, czystego i nieczystego, składającego ofiary i temi ofiarami gardzącego. Tak samo dzieje się z dobrym, jak i z grzesznikiem... — to samo dzieje się ze wszystkimi..." (Eccl. 9 : 1 — 9).

Autor święty stwierdza tutaj fakt, oparty na codziennem doświadczeniu, że często na ziemi w życiu doczesnem, jednakowy los spotyka dobrych i złych i stąd wyciąga wniosek: „niewiadomo, czy człowiek godzien jest miłości, czy nienawiści", nikt nie może z pewnością naprzód powiedzieć, czy Pan Bóg

tutaj na ziemi da mu pomyślność, czy też ześle próbę pozostawiając ostateczne wypełnienie swego miłosierdzia w wieczności.

Nie można więc tak dręczyć ludzi fałszywem, a przynajmniej nieścisłem tłomaczeniem tego napozór tak strasznego tekstu.

c) Trzeci tekst jeszcze straszniejszy i jeszcze ciekawszy: „Horrendum est incidere in manus Dei viventis...” „Strasznem jest w paść w ręce Boga żywego” — z listu Ś-go Pawła do Żydów 10 : 31

Któżby nie zadrżał wobec takiego wykrzyknika Apostoła, który był porwany do trzeciego nieba i o którym teologowie utrzymują, że na jeden moment widział Boga twarzą w twarz...!

Czyż to tylko wrażenie okropne zostało mu po tem widzeniu Boga?

Bogu Najwyższemu dzięki, że nie jest tak w rzeczywistości.

Tekst powyższy nasi gorliwcy wyjęli z kontekstu, podobnie, jak i inne wyjątki Pisma Świętego, odosobnili go od głównej myśli i od tych okoliczności, które mu nadają właściwy charakter i znaczenie, zupełnie zresztą inne, aniżeli mu przypisują.

Trzeba zaznaczyć przedewszystkiem, że w tym rozdziale listu do Żydów apostoł ma na celu obudzenie w swych wiernych ufności w Bogu i umocnienie ich w wierze i wytrwaniu na drodze miłości ofiarnej.

Trzeba podkreślić następnie, że cytatę powyższą Apostoł zwraca przeciwko temu, „któryby Syna Bożego podeptał i krew testamentu, przez którą był poświęcony, pokalaną być rozumiał i *Ducha łaski zelżył*” (tamże 10:29), a więc przeciwko *rozmyślnym* bluźniercom i ludziom *złej woli*, którzy głuchymi pozostają na wszelkie wołanie łaski i z uporem sami dobrowolnie łaskę zbawienia odrzucają, będąc świadomi swej zbrodni.

Oto, zresztą, pełny tekst pawłowy: „Ktoby Zakon Mojżeszów *wzgardził*, bez wszelkiego miłosierdzia, za świadectwem dwu lub trzech umiera. (Kara śmierci w Prawie Mojżeszowem, która nic nie przesądza o zbawieniu człowieka). Jakoż mniemacie, na daleko sroższe zasłuży karania, któryby Syna Bożego podeptał i krew testamentu, przez którą był poświęcony, pokalaną być rozumiał i Ducha łaski zelżył? Albowiem wiemy, kto powiedział: Mnie pomsta, a ja oddam. I znowu: iż Pan sądzić będzie lud swój. *Strasznoć jest wpaść w ręce Boga żywego.* Rozpamiętujcież dni dawne, w których, będąc oświeceni, przetrwa-

liście wielką potyczkę utrapienia. Częścią, gdy lekkościami i uciskami, dziwowiskiem się staliście, a częścią, gdyście się stali towarzyszami tak się mających. Albowiem i z więźniami społem utrapieni byliście i złupienie majętności waszych przyjęliście z weselem, wiedząc, że wy macie majętność w niebie lepszą i trwającą. *Nie traćcież tedy ufania waszego, które ma wielką zapłatę.* (do Żyd. 10:28—35).

Strasznem jest więc wpaść w ręce sprawiedliwego Boga dla tego, który do ostatniej chwili życia odrzucał łaskę zbawienia, bluźnił i deptał krew testamentu za niego wylaną, nie chcąc w uporze złej woli uznać swoich win i nie prosząc o ich przebaczenie, ale sprawiedliwy i grzesznik skruszony nie potrzebują, nie wolno im się obawiać niczego, albowiem na progu wieczności znajdą zawsze otwarte ramiona i promieniejącą uśmiechem łaskawym twarz dobrego Ojca, który cieszy się z powrotu marnotrawnego syna i raduje, że oto umarł był, a ożył, a wszystkie przewinienia jego wymazane zostały na wieki w pamięci Najmiłościwszego Boga.

d) Jeden jeszcze tekst, bardzo często spadający z ambon jako grom na zbuntowane owieczki, a terroryzujący najczęściej, najbardziej zalękłe serca Bogu ducha winnych istot o najlepszej nieraz woli. ale upadających pod ciężarem wmówionej tragicznie „ręki sprawiedliwego Boga" — to znane powiedzenie Chrystusa: „Wielu jest wezwanych, ale mało wybranych" (Mat. 20:16), które z pełną tajemniczego lęku twarzą i z niesamowitym wyrazem nieuniknionej grozy, wiszącej jak miecz Damoklesa nad światem, rzuca się w tłum, by szerzyć panikę i rozpacz nieomylną zapowiedzią, bo — według tej ogólnie przyjętej interpretacji — opartej na słowach samego Chrystusa, że zpośród tu obecnych i słuchających i wogóle zpośród ogólnej liczby ludzi mała tylko garstka zbawioną zostanie, a reszta bezapelacyjnie i masowo skazaną na potępienie wieczne... albowiem „wielu jest wezwanych, ale mało wybranych..." do nieba!

Zgoła fałszywe, a przynajmniej nieścisłe tłomaczanie słów dobrego Jezusa.

Wypowiadając to zdanie, nie miał łaskawy Chrystus nigdy na myśli terroryzowania biednych, prostych słuchaczy groźbą potępienia wiecznego.

Bo przedewszystkiem — taka teorja, głosząca urbi et orbi, że większość ludzi wypełni czeluście piekielne, a luźno bardzo będzie w niebie u Pana Boga, nie może się zgodzić ani ze zdrowym rozumem, ani z teologicznem pojęciem ekonomji bożej nad światem.

Oznaczałoby bowiem, ni mniej, ni więcej tylko klęskę tej ekonomji bożej na całej linji. Bóg przecież stworzył ludzi nie po to, aby ich męczyć i unieszczęśliwiać na wieki, ale, przeciwnie, by dać im pełnię radości, jeżeli nie tutaj, bo to od wielu innych okoliczności zależy, a zresztą niczem jest ten krótki okres doczesnego życia w stosunku do wieczności, to przynajmniej tam, gdzie „oko nie widziało, ani ucho słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło, co nagotował Bóg tym, którzy Go miłują".

Do walki z Bogiem o tę radość wieczną dusz ludzkich występuje szatan, ale on nie ma dostępu bezpośredniego wprost do woli człowieka, decydującej ostatecznie o swym losie, a która pozostaje zawsze wolną i choć jest potężnym duchem ciemności, zawsze jednak, jako stworzenie, niższym jest Boga i Jego sługą.

I szatan i Bóg walczą o wpływ na wolną wolę człowieka. Szatan w imię nienawiści, Bóg w imię miłości. I choć szatan ma za sprzymierzeńca ułomność natury ludzkiej, ciągnącej nieraz mocno ku złemu, to jednak za Bogiem jest instynkt życia i niepohamowane dążenie do jasnego szczęścia, które tkwi w człowieku zawsze, a wzmaga się niepomiernie w ostatnich chwilach doczesnej ludzkiej pielgrzymki.

Udaje się szatanowi — rzec można powszechnie — omamienie słabego człowieka wśród chaosu i zgiełku życia, ale gdy następuje nagle śmiertelna cisza przedproża wieczności, choćby ona jeden tylko moment trwała, gdy w tym ostatnim, decydującym momencie, jak w pojedynku na śmierć i życie, skrzyżują się w duszy te dwa walczące miecze—zwycięży zawsze instynkt życia i zwycięży miecz Boga.

Jedynie, jedynie tylko zła wola, lub rozpacz, jak u Judasza, odepchnie w tym momencie rękę miłościwego Boga i zgodzi się *sama* na własne potępienie.

Ale to mogą być tylko rzadkie i anormalne wypadki.

W przeciwnym razie, w ostatecznym wyniku zwyciężyłby szatan, zagarniając ku sobie całą niemal ludzkość, a Pan Bóg zostałby jedynie z niepozorną gromadką rozbitków życiowych.

Takie rozwiązanie jest wykluczone, choćby ze względu na honor — jeżeli już nie na dobroć — Boga i z samego pojęcia Boga, jako Istoty Najwyższej.

W przeciwnym razie Pan Bóg dawnoby już przerwał tę niebezpieczną grę i skończyłby ze światem już od wielu wieków, nie chcąc zasłużyć Sobie na miano Okrutnego.

Mówić będziemy o tem jeszcze przy kwestji dobroci bożej w stosunku do umierających.

Zasadniczo więc także tłomaczenie tego tekstu Ewangelji jest błędne i niedopuszczalne.

Tem bardziej błędnem okazuje się ono, gdy zestawimy ten tekst, który Chrystus wypowiedział jako wniosek, z całą uprzednio przeprowadzoną myślą.

Mówił Chrystus — w rozdz. 20 u Ś-go Mateusza, od wiersza 1-go, przypowieść o robotnikach, wezwanych w różnej porze dnia, na pracę w winnicy. Po skończonej pracy, ku zgorszeniu zazdrosnem tych robotników, którzy tam pracowali od świtu, wszyscy, i ci najpóźniejsi, dostali umówioną jednakową zapłatę.

Jest tu wyraźna umowa o t. zw. w teologji „gratiae gratis datae", o łaskach darmo danych człowiekowi. Żadnego z robotników nie skrzywdził pan winnicy, albowiem dał każdemu z nich tyle, ile było w umowie. A że tym ostatnim dał taką samą zapłatę — to był jego gest pański, a raczej promień miłosierdzia, boć i oni byli głodni tak, jak i tamci i chcieliby pracować od rana, tylko nikt ich od rana nie wynajął.

Każdemu człowiekowi daje Bóg tyle łaski, że zupełnie ona wystarcza, by człowiek, współpracując z nią, zbawił swoją duszę. Jest to dogmatem wiary, wypływającym wprost ze zrozumienia istoty bożej, którą jest Nieskończona Miłość.

A że poza tą ogólną normą, a raczej ponad nią, Pan Bóg daje niektórym „wybranym" jeszcze łaski specjalne (za które zresztą są te dusze odpowiedzialne więcej), że je powołuje bez żadnych z ich strony zasług (robotnicy ostatnio najęci) do wielkich dzieł, czy do wielkich mistycznych tajemnic — to już jest wyłącznie dziełem szczodrobliwości ponad, że tak powiem, „normalnej" Boga, za którą nikt i nigdy obrażać się nie powinien,

a tylko jeszcze więcej tego dobrego Boga kochać, bo to czyni On jedynie z bezinteresownej swej miłości i dla większej radości ludzi.

„Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy — bo dostałeś, co ci i tak bardzo hojnie obiecałem. Weźmij, co twego jest, a idź: chcę też i temu ostatniemu dać, jako i tobie. Czyli mi się nie godzi uczynić, co chcę? *czyli oko twoje złośliwe jest, iżem jest dobry*?" (Mat. 20: 13—15) — „albowiem wielu jest wezwanych, a mało wybranych" (tamże w. 16), „mało wybranych" do tych specjalnych względów łaski, ale nikt nie odtrącony, nikt nie potępiony, owszem, wszyscy z całą hojnością monarszą obdarzeni i nasyceni zupełnie.

Oto właściwe znaczenie i tego, tak na pozór strasznego tekstu Ewangelji.

Te przykłady i wiele innych, któreby można tu jeszcze przytoczyć, wykazują już dostatecznie, jak tendencyjną, jak chorobliwą i, niestety, jak straszliwie zgubną jest egzegeza tych wszystkich tragicznych rygorystów, którzy, jakby opanowani manją niszczenia, jako mary, tchnące trupim chłodem i grobową pleśnią, strasząc swemi pustemi oczodołami i wykrzywioną w szkieletowym zjadliwym śmiechu twarzą, wyciągają swe bezdźwięcznie stukające w kościanej nagości piszczele i zieją piorunnemi groźbami, rzekomo jako wysłannicy Boga, w Jego imieniu i w obronie czci Jego imienia.

Bluźniercy i prawdziwi świętokradzcy, którzy z najsłodszego Bożego Imienia uczynili świszczący nad głowami ludzkości katowski bicz, a z przecudnej, przesłonecznej, przejasnej i przedobrej bożej twarzy—jakąś maszkarę średniowiecznego inkwizytora i mordercy dusz!...

Niech im Bóg tę straszną krzywdę wybaczy!

5. Pamięć na popełnione przedtem grzechy.

Trzeba przyznać, że, jeżeliby były prawdziwie poważne przyczyny trwogi przed Bogiem, to ta byłaby jeszcze może najbardziej racjonalną.

Myśl o dawnem życiu, które niezawsze było budującem i wiele pozostawiało do życzenia pod względem etycznym, bardzo deprymujące sprawia wrażenie w chwili kryzysu sumienia, a i długo jeszcze po nim.

Wracają ciągłe obawy, że wyznanie na spowiedzi nie było zupełne lub niebardzo szczere, że nie było połączone ze skruchą wystarczającą, lub dość serdecznie odpokutowane.

Biedne, nieszczęśliwe dusze, pytają się ciągle siebie z lękiem, czy nic już na ich sumieniu nie pozostało i boją się spojrzyć wprost w twarz dobrego Boga.

Źle czynią i mylą się boleśnie, bo przecież w sercu tego dobrego ojca jest tylko współczucie, litość i najtkliwsza radość z powrotu marnotrawnego, ale tak bardzo umiłowanego syna.

Nie można jednak zrozumieć, choćby z punktu czysto psyhologicznego, dlaczego te wszystkie obawy dręczą dusze, które najmniej do tego winny mieć powodów, bo w życiu ich nie było prawdziwego odwrócenia się od Boga. A jednak większość tych, którzy opanowani są nieszczęsną trwogą przed Bogiem i jego sądami, stanowią te właśnie dusze dobre, ale małe w swem lęku niewolniczym. Ci, co najwięcej drżą przed Bogiem zazwyczaj, to nie są najwięksi grzesznicy, ale, niestety, te nieszczęsne męczące się bez powodu żadnego istoty.

Nie mogą się zdobyć na to, by rzucić wszystkie swe ułomności i przewinienia w głębię nieskończonego miłosierdzia bożego i by iść do ich niebieskiego Ojca z ufnością dziecięcą, która wie, jest przekonaną, że może zawsze być pewną najserdeczniejszej tkliwości i dobroci tego, którego obraziły.

W Bogu widzą tylko majestat, świętość nieskalaną i nieugiętą sprawiedliwość, zapominając, że ten majestat i świętość są w najwyższym stopniu łaskawe i współczujące z naszą słabością, a sprawiedliwość oparta i kierowana nieskończonem miłosierdziem.

6. Temperament.

Bardzo często temperament naturalny jest nietyle przyczyną, ile podatnym gruntem, do obudzenia w duszy tych wszystkich obaw i trwogi przed Bogiem.

Są pewne natury bojaźliwe, wrażliwe bardzo, mało ekspansywne, bierne, skłonne do skrupułów i zbyt nerwowe, które wytwarzają same przez się nastrój pewnej rezerwy, a nawet ciągłej trwogi.

To też wśród takich natur najwięcej spustoszenia czyni jad jansenistowski.

Ale z tem można i należy walczyć i są sposoby do opanowania, a nawet przerobienia własnego temperamentu. Tak się wyrabiają charaktery. Trzeba tylko dobrej woli, pewnego wysiłku, systematycznej pracy pod mądrem kierownictwem, a reszty dokona łaska boża.

* * *

Oto są najważniejsze i najczęściej spotykane przyczyny trwogi przed Bogiem w duszach ludzkich.

Żadna z nich nie jest wystarczającą na tyle, by wytłumaczyć tę prawdziwie powszechną tragedię ludzkości.

Chrześcijanin prawdziwy może się bać jednego tylko: by nie dać powodu do cierpienia Bogu, jeżeliby wogóle Bóg mógł kiedykolwiek cierpieć i jeżeli się trwożyć, to tylko na jedną myśl: że tak bardzo mało, tak słabo, tak nieumiejętnie i ozięble kocha tego Najlepszego Boga.

Ani rozum, ani wiara nie mogą usprawiedliwić innych obaw. Ale same te obawy winny być dla nas źródłem największej, dziecięcej, bezgranicznej ufności.

Kiedyż przyjdzie ta chwila, że tu na ziemi poznają Twe prawdziwe, pr mienne oblicze, Boże Najlepszy, tak, by już nie było małych, nędznych, niewolniczych i trwożnych wiecznie dusz, ale by wszystkie one jaśniały radością i szczęściem prawdziwych synów bożych, jako cudne promienie słońca nieograniczonego Twej Nieskończonej miłości...!

Ks. A. Bogdański.

Dźwigaj, jak Krzysztof...

Dźwigaj—jak Krzysztof—przez rzekę Życia
Prawdę i Żywot na sobie.
Nie bój się fali, wirów, rozbicia
Nieś twą Dziecinę przez rzekę Życia.

Z chwilą drugiego brzegu zdobycia
Spełnisz swą rolę na globie.
Pomnij że niesiesz przez rzekę Życia
Prawdę i Żywot na sobie.

Jan Tarwid.

U STÓP KRZYŻA.

Kiedy mi bardzo jest ciężko na sercu,
Wnet z swym krzyżykiem spieszę do ołtarza
I uklęknąwszy kornie na kobiercu,
Gdy mię obecność ludzi nie przeraża,
Tu — na ołtarza poświęconym progu
Otwieram w ciszy duszę moją Bogu.

I wówczas z ramion Ukrzyżowanego
Na mnie zbawienne tryskają promienie,
Aż mi się zdaje, że ze światła tego
Sam się niebawem w anioła przemienię;
Do duszy jasność napływa mi błoga
I czuję, jak gdybym już bliższym był Boga.

O wy! co w szarej utrapień godzinie
Szukacie na nie pociechy w tym świecie,
W życiu, co rwącym potokiem w nim płynie,
Szukacie próżno! Tam jej nie znajdziecie!
Niema go w świecie, ani w sercach ludzi
Tchnienia, co krzepi i do życia budzi!

Lecz, gdy godzina utrapień się zbliża,
A wy nie macie dość sił do obrony,
Idźcie—klęknijcie u stóp tego Krzyża
Z rozpostartemi Chrystusa ramiony:
Tam odpuszczone zostaną wam grzechy.
Tam spłynie źródło prawdziwej pociechy!

Bronisław Wiszniewski.

Z dzieł Kardynała Merciera.

(Dokończenie)

Jasnowidzący z Apokalipsy zoczył w pośrodku Nieba Chrystusa Pana, umęczonego, ofiarowanego, zarżniętego Baranka. Z czterema zwierzętami siedział i dwudziestu czterech starców — wyrażali oni najprawdopodobniej naturę, istotę i kościół obu testamentów — którzy do ziemi upadali przed Nim, aby Go adorować. Każdy z nich trzyma harfę i napełnione wonnościa-

mi ze złota czasze, a są to modlitwy świętych. I śpiewają te pieśni słowa: „Przez twą ofiarę zbawczą, odkupienie sprawiającą, dałeś Ty światu klucz historji, zdobyłeś na służbę u Boga zespół, stowarzyszenie, społeczeństwo tak szerokie, jak ludzkość cała, odziałeś ich członków godnością królewską i kapłańskie nałożyłeś na nich posługiwanie." *)

A gdy Zacharjasz zapowiadał posłannictwo i misję syna swego Jana Poprzednika, błogosławił Bogu, że wyrwał lud wybrany z pod obcego, wrogiego panowania i że dał mu władzę wypełniania przed Nim służby religijnej bożej, święcie, w sprawiedliwości i na wieczność: *„ut... de manu inimicorum nostrorom liberati serviamus illi, in sanctitate et justilia coram ipso, omnibus diebus nostris"*. **)

Tym już więc razem, o Boże mój, ciężki, nierozwiązalny problemat, ciemne zapadnienie sumienia i duszy mojej religijnej rozświetla się i rozwiera, lecz jednocześnie czuję się bardziej jeszcze niż kiedykolwiek zgnębionym, zmiażdżonym ciężarem miłości Twojej.

Przyciąga mnie do Ciebie, nakazuje mi oddać się samemu Tobie, służyć Ci i kochać Ciebie. Ale czyż to nie obłęd z mej strony, zamierzać nawet chcieć się zbliżyć ku Tobie? A gdybym nawet zdołał rzucić się w objęcia Twoje, czyliż mógłbyś, o Boże, znieść uścisk mój i dopuścić do niego?

O Boże mój! Dozwól, bym Ci to wyznał szczerze. Oto chwieję się jeszcze i wątpię i waham się, cały zmęczony, za-

*) „I oto zobaczyłem: w pośrodku tronu Stolicy i w pośrodku zwierząt czterech... baranka stojącego jakby umarłego... I... czterech zwierząt i dwudziestu czterech starszych upadli przed obliczem baranka, a mieli każde z nich cytry i czasze ze złota pełne wonności, któremi są modlitwy świętych. I śpiewali oni śpiew nowy, mówiąc: Godnyś jest, o Panie, dostać w ręce swe księgę i rozewrzeć go znakiem jego, gdyż zabit jesteś i odkupił ci nas Bogu we krwie Twojej ze wszelkiege plemienia i języka i narodu i ludu i zrobił-ci Bogu naszemu królestwo i kapłanów". Apocal. 5: 16—10. (Kard Mercier w parafrazie swojej rozumie tak jak i my, że apokalipsa odnosi się do tajemniczych rządów Boskich w historji, dzięki którym uświęca Opatrzność wybranych świętych. — Stąd księgę zamkniętą nazwał zrozumieniem dziejów. — (dod. tłom).

**) Luc. I. 74—75. Wyraz grecki Wulgata łacińska tłómaczy przez „s e r v i a m u s" (abyśmy służyli) jest to Latrenein, i oznacza właściwie służbę kapłańską.

straszony wobec niezgłębionej tajemnicy twej miłości ku mnie. Jakżeż mogłeś się zdecydować na ukochanie mej istoty? Mnie, który niczem jestem wobec Ciebie, coś wszystkiem! Mnie, którym jest ciemnością wobec Ciebie, Światłości samej! Mnie, trupa, zamarłe ciało, wobec Ciebie, coś życiem jest! Mnie, tego zrewoltowanego buntownika, wobec Ciebie, któryżeś Pokojem! Ach powiedz mi, Ojcze mój, czyż to prawdziwie możliwe, abyś mnie kochał?

A ty, Synu mój, możesz wątpić żem Cię umiłował i że Cię miłuję? Czyż zawsze pozostaniesz głuchym i zbuntowanym wobec miłosierdzia Mego, głuchym i ślepym na miłość Mego Syna? On obalił granice i przegrody, które nas dzieliły i przełamai On też zapory, które twe zbrodnie namnożyły pod krokami stóp twoich. „Na świecie ledwieby wydano swe życie za zacnego, uczciwego człowieka; czyżby je oddano nawet za dobroczyńcę? A Chrystus mój umarł dla ciebie i dla braci twoich w czasie gdy ty i bracia twoi byliście w grzechu jeszcze".*) Patrz się więc na Niego, na Jednorodnego mego, wpatruj się weń w Jedynego Syna ukochanego mego, dla którego wszystkie upodobania moje zachowuję. Wziął On na się naturę i przyrodzenie twoje własne. Wziął ją w całej jej rzeczywistości (smutnej) ze słabościami jej i z cierpieniami jej, z jej podległością śmierci, za wyjątkiem tego jednego, co Mu całkowicie i wyłącznie niemożebnem było do wzięcia z Was: grzechu twojego. A jednak, grzechem tym nawet oblókł się On nazewnątrz jakoby niecną, szkaradną sukmaną, na to, aby dać się ku poniewierce i wzgardzeniu i wstrętowi tych, którym przychodził przebaczać. A jam pozwolił, a jam i chciał aby Syn ten ukochany, którego uścisk całe szczęście błogosławione moje stanowi, dla ciebie cierpiał, upokorzył się i umarł, a umarł na krzyżu. Jam chciał, aby On wszedł i przeniknął aż do wnętrzniejszych ziaren twego jestestwa, aż do rdzenia substancji twojej, odżywiając je swem Ciałem i Krwią swoją i Bóstwem swo-

---

*) „Chrystus, gdyśmy byli jeszcze w słabości i omdleniu, według czasu umarł dla grzeszników. Ledwie że kto umrze za sprawiedliwego, gdyż któż nawet dla dobrego odważy się umrzeć? Bóg jednak utwierdza i wykazuje miłość swoją ku nam i dla nas, w nas sprawianą tem, że podczas, gdyśmy jeszcze grzesznikami byli, (według czasu), Chrystus umarł za nas". Rzym. 5:6—8.

jem. Od Ciebie zależy dać jej porwać i napełnić rączemu potokowi życia mojego i razem z tem życiem powrócić, przez Syna mojego, aż do wyżyn mego ojcowskiego łona. Łaknę i pragnę oddać się i głód mam oddanie siebie samego, pragnienie mnie pali dać się, napić się chcę oddaniem się Tobie. A końcem porywów i pragnień mojej miłości jest to, aby wszysko, co ma myśl i ręce, anioły i ludzie, nie czynili, jako jedno z Synem moim i ze Mną, jedną Prawdę jedyną, jedno jedyne Piękno, Dobro olbrzymie, przestworne, nieogarnięte, w jedności świętego Ducha, „*ut sint consummati in unum*". *)

Tak więc miałżebyś wątpić w moc miłości mojej?

Ach nie, mój Ojcze, nie wątpię ja, już wątpić nie mogę, już nie chcę wątpić dalej. Ale jednak przywiera się nademną miłość twa jak niebo i gniecie mnie swym ciężarem. Jestem nią stłoczony; odpędź mnie od siebie, odepchnij, a powiem, iż dzieje mi się sprawiedliwość. Im więcej ukochania i tkliwości mi świadczysz, tem bardziej odczuwam potrzebę uchronienia się od twej boskiej obecności, uchylenia się przed nią i krzyczeć chcę z Szymonem—Piotrem razem: wynijdź odemnie, Panie gdyż tylko ja człowiekiem jestem. (Łuk. V. 8)

Dobrze czynisz, Synu mój, że odciągasz się z przed wzroku mojego i że uciekasz przed miłością moją. Nikt nie może mnie widzieć bez popadnięcia w niemoc słabości swojej i bez śmierci żywota swojego. Mojżesz przedemną zakrywał sobie twarz i nie śmiał patrzeć we mnie. Zakazywałem mu zbliżać się do mnie (Exod. III, 5—8). A czyżeś ty lepszy od niego? Zraniłeś mi serce i ugodziłeś w miłowanie moje przez niewierność twoją i twe niewdzięczności. Tak, zapewne, zapracowałeś sobie na odrzucenie i na karę.

---

*) Jan. XVII. 23. — Zauważmy wyrażenie kardynała Mercier o potoku rączym życia boskiego, który gotów nas porwać, pochłonąć, unieść i wodami swemi napełnić nas do wyżyn ojcowskiego łona Boga. Nieraz się może to porównanie u mistyków powtarzać w tej lub innej formie, a znaczy ono zawsze to samo iż pod działaniem łaski boskiej rozcieńcza się w Bogu dusza nasza, spływa w głąb otchłani niebieskich, z twardości głazu w przelewną moc przechodzi — r o z t a p i a się jako wosk, wilgnie (środki) rozwiązuje się i ogarnia, t o p n i e j e zamrożony śnieg na słońcu —staje się c z e m ś p ł y n n e m jak mawiał Św. proboszcz z Ars. (l'â m e s e l i q u é f i e — dusza płynną się staje —) (Dodat. tłom.)

Lecz tyś nie poznał jeszcze, tyś jeszcze nie zrozumiał sekretu i tajemnicy miłości mojej.

Ja nie kocham tylko Syna mego jedynego. Wiecznie, z wieczności do wieczności, koniecznie, z nieuchronnej konieczności mocy rodzę Go Ja. Kocham Go i on mnie kocha. Zobopólna miłość nasza, w jedności Ducha naszego, jest wyczerpaniem, wypełnieniem, zkonsumowaniem naszego życia boskiego, szczęśliwością naszej Trójcy świętej*).

Jeśli ja ciebie więc kocham, to jedynie dla tego, że mi się spodobało wcielić cię w Niego, aby w ten sposób ciebie w Nim kochać, Jego kochając w tobie.

Stworzyliśmy cię tu na podobieństwo nam, a podobieństwo to, to słowo moje. Słowo wieczne jest wiecznie, we mnie którym jest początkiem i pierwiastkiem jego. Jest ono w stosunku ze mną i do mnie. Jest ono Bogiem. Ono jest chwałą moją i racją bytu wszelkiego stworzenia. Każde z nich jest tylko z Jego przyczyny. (Jan. I, 1—3). Niech więc żyje Ono w tobie, a będziesz uczestnictwo miał w ukochaniu w Nim mojem.

Życie twe będzie ci zagadką i przedmiotem zgorszenia tak długo, dopóki nie zrozumiesz wiecznej predystynacji, przeznaczenia odwiecznego wybranych moich w jedynym ukochanym moim. Jesteś zbrudzony, lecz krew syna mojego cię oczyszcza. Jesteś daleko odemnie, w ciemnościach zmroków, w kłamstwie, we śmierci, lecz Syn mój jest Drogą i Prawdą i Życiem. *Wyrwij się sam z siebie*, uwolnij się od siebie, naucz się zapierania się siebie samego, wydziedziczania się siebie, śmierci i umierania, a gdy Chrystus mój stanie ci się twym życiem, jedynem, będę Ja miał dla ciebie tylko uśmiechy i łaski i tkliwości i upodobania miłości. Dzieło moje i dzieło twoje, dzieło wspólne nasze, będzie wypełnione zkonsumowane (jak cząstki przy ołtarzu)**).

---

*) Zauważmy jak tu kardynał do Trójcy św.. fundamentu prawdy chrześcijańskiej, wzlatuje. To cecha pism jego. (Dod. tłom.)

**) Święty Augustyn, komentując stworzenie człowieka na obraz i podobieństwo Boga, pisze te słowa głębokie: „Hoc est ei (homini) fieri quod est cognoscere Verbum Dei per quod fit" Dla człowieka stać się — to poznawać Słowo Boże, przyczynę swego stworzenia". De genesi ad litteram. libr. III. cap. 21. — Skonsumowane jak cząstki przy

O Panie mój Jezu, ty jesteś w pośrodku nas, a my Ciebie nie znamy (Jan. •I). Tyś jest Barankiem Bożym, który gładzisz grzechy świata, a my nie uznajemy Ciebie i nie poznajemy Cię. (Jan. I. 29.31). Tyś jedynie jest święty, tyś jeden Król tyś jeden Najwyższy, Jezus Chrystus, w jedności z Duchem świętym we chwale Boga Ojca: *tu solus sanctus, tu solus Dominus, tu solus altissimus, Jesu Christe, cum Sancto Spiritu in Gloria Dei Patris. Amen.*

Wszyscy chrześcijanie, mówiliśmy, przez chrzest swój stają zakonnikami—są w zakonie.

Wszyscy przez chrzest swój są istotami uświęconemi, istotami poświęconemi Bogu.

Wszyscy tworzą, według świadectwa apostoła Piotra świętego „jedną rodzinę wybraną, doborową, królewskie kapłaństwo, krew poświęconą, lud odłożony na bok, obwarowany". *Vos autem genus electus, regale sacerdotium, gens sancta, populus acquisitionis".* (I. Petri, II, 9).

Ale religja ich, zakon ich, jest dotychczas prywatną tylko. Poświęcenie ich, konsekrancja ich ma charakter wyłącznie osobisty, z osoby do osoby.

Tymczasem boska Opatrzność chciała, już pod starem Prawem, aby plemię jedno było oficjalnie, urzędowo utwierdzone w posłannictwie odprawowania chwalby bożej, ofiarowywania Jehowie, w imieniu ludu całego, śpiewie i przewodniczeniu w ceremonjach publicznych kultu. Opatrzność to uwolniła dlatego celu właśnie, Lewitów, z codziennych trosk doczesnych, wymagając w zamian od nich, aby dusza ich była całkowicie i niepodzielnie religji, zakonowi oddaną.

Otóż Prawo Mojżeszowe nie było niczem innem, jak jeno przygotowaniem do Ewangielji, a kapłaństwo Starego Zakonu zapowiadało Kapłaństwo Chrystusowe.

Chrystus Pan ustanowił Sakrament osobny, który oficjalnie, urzędowo przeznacza swem działaniem wybór ludzi pewien do wypełniania Religji, w imieniu całego społeczeństwa chrześcijańskiego, względem Ojca Przedwiecznego.

---

ołtarzu" jest dodatkiem, „tłómaczę w myśl autora, który liturgję, jako przepowiadanie życia wewnętrznego uznawał i życie wewnętrzne liturgji przeistoczeniem się naszem w Boga, wierny swym zasadom, mógłby nazwać (Przyp. tłom.)

Są biskupi i w jedności z nimi kapłani, niżsi też ministrowie, którzy razem tworzą hierarchję publiczną, której z boskiego zrządzenia i woli oddane jest posłannictwo sprawowania jedynej Ofiary Chrystusa w imieniu Katolickiego, powszechnego Kościoła, „in primis pro Ecclesia Sancta catholica“. Do tejże hierarchji *) należy mówić i śpiewać hymn chwały boskiej w jedności z tą przenajświętszą ofiarą, a także przysposabiać lud chrześcijański do uczestnictwa godnego w Religji arcykapłana (Jezusa) i jego widzialnego Kapłaństwa.

Funkcje hierarchji kościelnej są rozdzielone. Djakoni „oczyszczają“ i „zadośćczynią“ i kapłani „oświecają”, biskupi zaś „dopełniają” i „konsekrują, poświęcają“, w ten sposób, że wyższy stopień posiada władze oddane stopniom niższym,**) im podległym.

Razem wzięte, te trzy osób porządki w kapłaństwie, współdziałają w zadaniu przeprowadzenia ludzkości z ciemności zmroków i śmierci do światłości życia***), oddawania, zwracania duszom doskonałego podobieństwa Boga.

Otóż, bardzo drodzy współbracia i współpracownicy moi*), tą hierarchją (Swiętowładztwo) ustanowioną przez jedynego Arcykapłana, to my—wy i ja—ją składamy. Chrystus Pan raczy oficjalnie, urzędowo posługiwać się sprawowaniem naszem, by chwałę dać Ojcu Swemu. Posługuje się nami, by nauczać, uświęcać, rządzić lud Boży.

Któż zatem jest religijnym *zakonnikiem*, jeśli nie my? Zakonnikami dla nas samych, bo chrześcijanami jesteśmy, zakonnikami w obliczu i w imieniu ludzkości, którą przedstawiamy, w jedności z Chrystusem, przed Majestatem Ojca Przedwiecznego.

Któż zatem obowiązany będzie być „świętym, niewinnym, bez zmazy, odłączonym od grzeszników, podwyższonym przed

*) O hierarchji, jako źródle świętości, o tajemnicy życia zawartej w Kościele, patrz b. piękną książkę zmarłego dominikanina francuskiego P. Clerissac „Le Mystère de l'Eglise—Tajemnica Kościoła. Paryż, Tequi. (Przyp. tłom.)

**) „Jest zatem wykazane, że stopień (porządek) biskupów ma władzę dopełniania i w rzeczy samej dopełnia; stopień zaś kapłański moc oświecania i że oświeca. Co zaś się tyczy niższych stopni (djakonów), że otrzymują oni władzę zadość czynienia i rozpoznawania. Lecz dzieje się to tak, że stopień biskupi nie tylko ma władzę dopełniania, lecz również i oświeca-

niebiosa" (Żyd. VII. 26) jeśli nie my, właśni, urzędowi przedstawiciele Chrystusa, słowonoscy Boga, mówiący słowo jego do ludu rzesz wiernych? „Sprawujemy bowiem, posłowanie za Chrystusa, tak jakby Bóg przez nas przemawiał". (2 Kor. 5. 20.).

My oczyszczamy wodę, oliwę, wino, kadzidło; my je egzorcyzujemy ode złego, nim poświęcamy je usłudze religijnej. My wykluczamy kościoły, ołtarze, patenę mszalną i kielich ofiary od wszelkiego świeckiego użytku, gdyż chcemy, aby były poświęcone one Bogu jedynie i nieodwołalnie. Konsekrujemy dzwony nawet i poświęcamy je, te dzwony, co na modlitwę wołają. I również cmentarze, gdzie spoczywają śmiertelne szczątki tych, z których chcemy uczynić świątynie Ducha Świętego. A otóż my, co poświęcamy drugich, my nie mielibyśmy być sami zakonnikami zakonu naszego konsekrowanymi?

Jan Chryzostom, gdy był pod groźbą, że wywyższony będzie na biskupstwo, opisywał obawy i przelęknienie trwogi przyjacielowi Bazylowi i tak się wyrażał, aby się pozbyć odpowiedzialności, nieodłącznych od kapłaństwa: „Ależ kapłan musi mieć duszę czystszą od promieni słońca, gdyż potrzeba jest, by Duch Święty ani na chwilę go nie opuszczał i by zawżdy mógł mówić „Żyję nie ja i nie to jest życie moje, ale życie me to życie Chrystusa we mnie" (Traktat o kapłaństwie, ks. 6, rozd. 1)."

Skądże więc to pochodzi, drodzy współbracia moi, że przychodzi wam nieraz przeciwstawiać stan wasz życia stanowi zakonnemu? Dlaczegoż pozwalacie na to, aby spodziewano się od was i żądano z waszej strony mniejszego stopnia doskonałości, niż od tego, który się w klaszorach zawarł?".

Poprzestajemy chwilowo na tych kilku stronicach, w których wielki kardynał przysposabiał swych księży djecezjalnych do powzięcia o sobie samych wysokiego wyobrażenia, że są powo-

---

nia, a jednocześnie i cierpienia za zadośćuczynienie. Władza zaś kapłańska, oprócz władzy oświecania, zawiera w sobie i władzę zadośćuczyniania. Lecz niżsi żadnym sposobem nie mogą (sami przez się) przechodzić do spełniania czynności wyższych stopni.. Bo jeśli najwyższe Bóstwo, o które nam tu właściwie chodzi, dusze tych, w których się wplenia, nasamprzód wytrawi, a później oświeca, a później już światłem napełnione, zatwierdza do bardzo podobnej w pewnej mierze doskonałości (biskupstwa), słusznem jest, aby ten święty rzeczy i ludzi porządek (kapłaństwa)... sam siebie wyróżniał i rozdzie-

łani do doskonałości chrześcijańskiej, każdy chrześcijanin jest do niej powołany, a cóż dopiero kapłan? Zakonnik w zwykle przyjętem tego słowa znaczeniu, różni się tylko od niego sposobem praktykowania tejże. Ale nie o to chwilowo nam chodzi, jeno o wykazanie tą długą cytatą świętości życia znanego kardynała i wyżyn, na jakie wzbijała się jego dusza. „Uderzenie skrzydeł orlich dobrze robi na duszy" mawiał mój dawny profesor, gdy mi Mistrza pewnego średniowiecznych mistyków do rąk dawał. I to uderzenie skrzydeł dalekonośnych, te Augustyna godne dźwięki przestworów niebieskich w duszy Kard. Mercier, dobrze zrobią, ufam, polskiemu czytelnikowi.

Tad. Rzewuski.

DYSPUTY.

Pyt. Dlaczego Pan Bóg zezwala na spalenie się np. kościoła lub ołtarza cudownego? Przecież takie wypadki osłabiają wiarę u ludu i inteligencji i odstręczają od kościoła, a Bogu winno zależeć na tem, by jak najwięcej ludzi zyskiwać dla wiary. Poza tem podobne wypadki są wodą na młyn dla innowierców i ateuszów.

Odp. Ekonomja Boża w rządach Opatrzności nad światem ma tę zasadę, stwierdzoną doświadczeniem historycznem i metafizyką, że wszelkie działanie we wszechświecie odbywa się w sposób naturalny, t. j. przez oddziaływanie przyczyn i praw naturalnych i wywoływanie normalnych ich skutków.

Pan Bóg, jako Pierwsza Przyczyna wszystkiego, jest pierwszem i ostatecznem zródłem każdego bytu i każdego działania wszystkich bytów, lecz na to ustanowił prawa natury i prawa moralne i nadał energję i moc sprawczą każdemu bytowi w jego zakresie, szczególnie zaś stworzeniom rozumnym, żeby przez nie

---

lał na rozmaite stopnie i władze na upodobnienie do bożych działań. Dyonisius Areopagita. De Eccles. Hierarchia, cap. V., § VII.

***) Byliście niegdyś ciemnością, a obecnie światłością jesteście w Panu. Chodźcież tedy jako synowie światła... patrząc na to, co jest spodobaniem się Bogu." Efez. 5:8—10.

*) Rzecz mówiona do kapłanów na rekolekcjach djecezjalnych, których, gdy mógł, ś. p. Kardynał Klerowi swemu sam osobiście udzielał. (Przyp. tłóm.)

w sposób normalny i w zwykłych warunkach pośrednio rządy Opatrzności sprawować.

Jedynie w wypadkach szczególnej wagi zawiesza Pan Bóg jakby na chwilę prawo natury, będąc jego twórcą i panem i interwenjuje sam bezpośrednio w sposób nadzwyczajny, sprawiając cud. Ale cuda naogół są tylko wyjątkami z ogólnej normy postępowania bożego i jako takie nie mogą być nigdy brane jako konieczność absolutna.

Posunął się nawet jeszcze dalej, stwarzając istoty rozumne i, konsekwentnie, obdarzone wolną wolą, to znaczy, dając im możność nietylko świadomego i swobodnego współdziałania z Nim w czynieniu dobrze, ale nawet przeciwstawienia się w dziedzinie moralnej Jego własnej woli. Stworzenia rozumne ponoszą, oczywiście, dlatego odpowiedzialność za swe czyny i muszą się spotkać z sankcją Najwyższego Prawodawcy, t. j. z nagrodą lub karą.

To wszystko jest faktem, który stwierdzamy codziennie na samych sobie i na całem naszem otoczeniu.

Przewidział Pan Bóg wiele fałszywych kroków, a nawet katastrof z nadużycia tej mocy sprawczej, szczególnie zaś wolnej woli, ale wybierając między możnością, jak wspomniałem, świata niewolniczych automatów i przyczyn wtórnych, nawet świadomych i wolnych, znając również całą radość tworzenia i wolności i pragnąc jaknajwiększego szczęścia i radości dla ogółu stworzeń, zgodził się na te indywidualne błędy i przemijające stąd cierpienie, byle jaknajwięcej radości i szczęścia rozsiać dokoła siebie.

Wybrawszy raz taki system, musi już Pan Bóg konsekwentnie pozostać mu wiernym i nie chcąc być nielogicznym i sprzecznym Sam ze Sobą, a więc nie Bogiem, tolerować, jako nieuniknione odchylenia, katastrofy, dotykające jednostki i wszelkie nadużycie wolnej woli ku złemu.

W swej mądrości i dobroci nie przestaje jednak Pan Bóg nawet tego zła fizycznego lub moralnego, pochodzącego z nadużycia wolnej woli, skierować ku dobremu przez odpowiednie wpływanie na czynniki działające, bez zmuszania ich jednak (jeżeli chodzi o stworzenia rozumne) i bez naruszania praw natury, poza wypadkami, bardzo zresztą rzadkiemi, cudów.

Stąd weszło w przysłowie, że „niema tego złego, coby na dobre nie wyszło”.

Obowiązkiem zaś ludzi, jako istot rozumnych, jest naprzód używanie swej wolnej woli zawsze i jedynie ku dobremu, wypełniając w tem wolę Bożą i odpowiednie, mądre i roztropne tłomaczenie wszystkich faktów. bez żądania na każdym kroku cudów i bezpośredniego działania bożego.

W danym wypadku, poruszonym w pytaniu, chodzi o spalenie kościoła lub ołtarza wsławionego cudami.

Przyczyną tego pożaru może być albo wypadek, piorun, czy przerzucenie się ognia z płonącego sąsiedniego budynku, nieostrożność obchodzenia się z ogniem i t. p., albo zła wola, t. j. nadużycie wolnej woli przez akt podpalenia, działanie wojenne i t. p

Wszystko to są przyczyny albo naturalne i konieczne, t. j. kierujące się ślepem prawem natury (wyniosła wieża kościelna, nieopatrzona piorunochronem, służąca jako najdogodniejszy punkt do wyładowania elektryczności w czasie burzy, zepsucie piorunochronu, prawo fizyczne o dobrych przewodnikach ciepła, o materjałach palnych i t. p.), albo dowolne (podpalenie), ale pochodzące ze źródła zasadniczo przez samego Pana Boga obdarzonego całkowitą autonomją, t. j. z wolnej woli człowieka, a więc też z przyczyny nie sprzecznej zasadniczo z prawem natury rozumnej, tylko źle zastosowanem.

Dzieje się z tym kościołem lub ołtarzem to samo, co stałoby się z każdym innym budynkiem, czy sprzętem, gdyby się znalazł w podobnych okolicznościach.

Z drugiej zaś strony Pan Bóg nigdy i nigdzie nie zobowiązał się do tego, że wyjmuje z pod działania praw naturalnych, czy wolnej woli człowieka Swoje kościoły i ołtarze. Owszem, Prorocy często mówili o przyszłem zniszczeniu Jerozolimy, które było „Miastem Świętem" i jedynej podówczas świątyni Boga prawdziwego; sam Pan Jezus to samo przepowiedział o odbudowanej Jerozolimie i nowej świątyni, opowiadając na 40 lat przed faktem o tem, że „nie pozostanie po nich kamienia na kamieniu", co rzeczywiście spełniło się dosłownie w roku 70-ym naszej ery.

Jeżeli więc tak jest, że kościoły i ołtarze podległe są z woli bożej wszelkim prawom natury i działaniu wszelkich czynników koniecznych i dowolnych, byłoby to wyraźnym cudem, gdyby one tym prawom nie ulegały. A cudu Bóg nie działa bez nadzwyczajnego powodu, jedynie jako bardzo rzadki wyjątek.

Że zaś takie wypadki osłabiają wiarę u niektórych ludzi, jest to, niestety, skutkiem nieuświadomienia religijnego tych ludzi.

A że innowiercy i ateusze wyzyskują w sposób demagogiczny tę nieświadomość religijną ludzi, czyniąc z takich wypadków argument przeciw istnieniu Opatrzności Bożej—to jest z ich strony świadomem nadużyciem wolnej woli, czemu Pan Bóg zasadniczo i logicznie nie może się przeciwstawić w zwykłych warunkach życia ludzkiego, wymierzając tylko później swoją sankcję za odpowiedzialne czyny ludzkie.

Jedynym stąd wnioskiem jest: podnoszenie poziomu świadomości religijnej ludu i rozumne tłomaczenie każdego faktu, oraz przeciwdziałanie również rozumne i zorganizowane przeciwko wszelkiej demagogji religijnej i nadużywaniu religijnej ignorancji tłumu.

Dla ludzi rozumnie patrzących (a tych tylko Pan Bóg w ogólnych swych rządach nad światem może brać pod uwagę) te wypadki nie mogą nigdy stać się kamieniem obrazy ich wiary w Opatrzność.

Tym biednym ignorantom Pan Bóg nie weźmie za złe ich błędu, bo nieświadomie go popełniają i napewno w inny sposób wiarę ich wzmocni.

A wiedzmy również o tem, że „niezbadane są wyroki Opatrzności i to, co zazwyczaj uważamy za katastrofę i klęskę w życiu naszem prywatnem, lub ogólnem, pod mądrą i przedobrą ręką Boga Wszechmocnego staje się źródłem dobra, przewyższającego chwilowe nieszczęście To jednak można stwierdzić tylko w dalekiej perspektywie, w powiązaniu z faktami późniejszemi, może dopiero pod koniec naszego życia lub w wieczności, gdy wszystkie przyczyny i skutki staną przed naszemi oczyma w całej swej prawdzie i powiązaniu.

Będzie to wtedy jedno ze źródeł zachwytu dusz zbawionych.

* * *

Pyt. Czy klimat ma wpływ na wyrobienie religijne człowieka, t. j. na jego sposób myślenia o Bogu?

Odp. Bezwątpienia, klimat jak i wszelkie inne warunki zewnętrzne, w jakich żyje i pozostaje człowiek, mają ogromny wpływ na ukształtowanie się jego sposobu ujmowania tego życia i jego przejawów, na kierunek, metody i sposoby myślenia, na takie lub inne ustosunkowanie się jego do różnych zagadnień,

na odpowiednie wytworzenie się temperamentu i wyrobienie charakteru i t. p.

Antropologja, etnologja, geografja porównawcza, wreszcie historja i nauki pokrewne stwierdzają to zupełnie wystarczająco, a i sam rozum à priori może nieomylnie powiedzieć, że inaczej ułoży się rozwój umysłowy i życiowy wogóle np. mieszkańca lodowatej Laplandji i opływającego we wszystkie dary natury Hindusa.

W kwestji zakresu wpływów klimatycznych na wyrobienie religijne człowieka, odróżnić musimy sam fakt religijności, t. j. uznania stosunku człowieka do istoty wyższej, którą nazywamy Bogiem, pojęcie i wyobrażenie sobie tego bóstwa, t. j. kult religijny i prawo.

Co do samego uznania istnienia istoty wyższej — jak to stwierdzają badania etnologiczne (p. Le Roy. Religja ludów pierwotnych. Bibl. Dzieł Chrześć. tłom. XX. Szymańskiego i Kotta i inn.) niema żadnego wyjątku, ani różnicy wśród ludów, znajdujących się w najróżnorodniejszych warunkach klimatycznych, t. j. że wszystkie ludy od najbardziej pierwotnych do najkulturalniejszych, od podbiegunowych do podzwrotnikowych są religijne, uznają bóstwo i ustosunkowują się do niego odpowiednio. Wypływa to z samej natury ludzkiej, która w istocie swojej jest religijną, bez względu na to, czy rozwija się wśród ludów północy, czy wśród afrykańskich dżungli. Dlatego też filozofja nazywa człowieka, w odróżnieniu od innych zwierząt: „animal religiosum", „istotą religijną". Źródłem zaś tej religijności naturalnej w człowieku jest jego dusza nieśmiertelna, obdarzona rozumem i zmysłem intuicyjnym, który bezpośrednio i nieomylnie dochodzi do stwierdzenia samego faktu istnienia bóstwa i dyktuje zaraz logiczne z tego konsekwencje.

Różniczkowanie rozpoczyna się dopiero na drugim stopniu rozwoju religijnego człowieka, t. j. w kwestji pojmowania, a raczej wyobrażania sobie (głównie, jeżeli chodzi o człowieka pierwotnego) tego bóstwa, a jeszcze więcej w sposobach kultu zewnętrznego i prawodawstwie stąd wypływającem.

Historja religij wykazuje nam to bardzo dobitnie. Totemizm, animizm, fetyszyzm i inne formy religijności ludów różnych, były przedewszystkiem wynikiem działania na człowieka jego otoczenia. A i wśród religij późniejszych, np. surowej i peł-

nej grozy religji dawnych Gallów i Germanów, a pełnej poezji i uroku mistycznego buddyzmu np. jaka olbrzymia różnica!

Ciągła walka o byt z surową naturą, płynąca stąd konieczność żelaznej organizacji i bezwzględnej karności, dochodzącej niejednokrotnie aż do okrucieństwa, wywołały jako swój skutek, nietylko wpływ na wyrobienie odpowiednich obyczajów i zasad etycznych, ale przedewszystkiem na ukształtowanie się pojęcia autorytetu władzy, co przeniesiono zupełnie logicznie do życia religijnego, do stosunku do bóstwa, pojmując i wyobrażając je sobie w piorunnej grozie, jako władcy niemal tyrańskiego, jako Wszechmocy druzgocącej wszystko, wobec której jest się prawie bezwolnym niewolnikiem, drżącym przed tą tajemniczą potęgą, którą trzeba ubłagać ofiarami nawet z życia ludzkiego.

Gdy tymczasem kwieciste łąki i gaje Hellady, Italji, czy Indyj, zalane życiodajnem i błogosławionem przez każdego słońcem, gdzie walka o byt była minimalną, bo potrzeby indywidualne były mniejsze, a naturalne spichlerze zawsze pełne i obficie, a różnorodnie zaopatrzone, wywoływały pojęcie i wyobrażenie bóstwa wprost przeciwne, jako dobroczyńcy ludzkości, uśmiechającego się zawsze i cieszącego się pełnią radości życia wraz ze szczęśliwym ludem. Niema tam śladu okrucieństwa, jest zaś cudna poezja, zaufanie i ciągły hymn uwielbienia.

Oczywiście, inne jeszcze wpływy, oprócz klimatycznych, działały na swój sposób, wprowadzając pewne zboczenia w tę religję poezji, miłości i radości życia, ale ogólny charakter pojęcia, wyobrażenia bóstwa, kultu i wielu praw zachował się dość wyraźny i zasadniczy.

Przyznać trzeba, że bliżej prawdziwego pojęcia Boga były te słoneczne religje, niż drżący poddani boga-piorunów i gromów. Im bogatsza i pełniejsza natura, tem jest doskonalszem odbiciem lub śladem istoty bożej, która jest pełnią wszystkiego co dobre, jasne i doskonałe.

Dopiero Chrystus, przyniósłszy ostatnie słowo objawienia bożego i sam na sobie je urzeczywistniając, poprawił i dopełnił to, co w poprzednich pojęciach religijnych było naleciałością antropomorfizmów i niezupełnych wyobrażeń i rozumowań religijnych. Powiedział wyraźnie, mówiąc o Starym Zakonie, który nosił na sobie wiele cech wschodnich, że „nie przyszedł, by znosić zakon, ale, by go dopełnić".

Wiele też elementu wschodniego zachował i podkreślił bardzo, choćby w swych obrazowych przypowieściach, zwłaszcza ilustrujących Opatrzność dobrego Boga, której potwierdzenie udowadniał właśnie bujnością przyrody wschodniej, tak dobitnie świadczącej o Bogu-Dobroczyńcy ludzkości i całego świata.

Ten objektywizm Chrystusa przemógł później wszelkie lokalne pojęcia i wyobrażenia Boga i istotnych zasad religijnych, tak, że po Nim i surowa północ porzuciła swych Thorów, Perkunów gromowładnych i bezwzględnych Światowidów, a przyjęła słoneczne Bóstwo jedyne, którego uosobieniem był Mesjasz-Chrystus, przebaczający, łaskawy i Przyjaciel dzieci.

Dalsze już konsekwencje, bardziej ludzkie, jak forma zewnętrzna oddawania czci Bogu prawdziwemu, liturgja i prawo kościelne, znowu odbiło na sobie cechy charakterystyczne poszczególnych prowincyj kościelnych w różnych liturgjach, kodeksach i zwyczajach narodowych, a jeszcze bardziej w osobistych, indywidualnych przejawach religijności, co się da zauważyć bardzo łatwo na każdym kroku.

* * *

Pyt. Czem tłomaczyć, że przykłady męczeństwa za wiarę, dobre przykłady bogobojnych i prawych charakterów religijnych, nie wywierają dziś wpływu na lud i inteligencję? nie pobudzają do naśladowania, do przywiązania do duchowieństwa i Kościoła?

Odp. Nie postawiłbym kwestji tak bardzo krańcowo, jak wynika z powyższego zapytania. Bo jednak nie wszyscy ludzie tak już zobojętnieli na to, co jest religijnem, wzniosłem, szlachetnem i heroicznem, żeby na nich nie wywierały dodatniego wpływu przykłady bohaterstwa i uczciwego życia.

Nie przeczę jednak bynajmniej, że wpływ ten zmniejszył się bardzo, że społeczeństwo mniej reaguje na dobry przykład i, żądne zawsze sensacyj, zwykle mniej szlachetnych, przechodzi szybko do porządku dziennego nad nawet nieprzeciętnym wypadkiem, czy wzorem bohaterstwa.

A przyczyn na to złożyło się wiele. Wszystko to, co doprowadziło wogóle obecny poziom moralny i znieczulenie społeczeństwa pod każdym względem do stanu dzisiejszego, spowodowało upadek również i na tym punkcie.

Podkreślmy ich tutaj kilka.

Przedewszystkiem więc—ludzie doby ostatniej, którzy przeżyli całą gehennę wojny, patrzyli może własnemi oczyma na kataklizmy zniszczenia i masowego mordu, na szał bolszewicki, na heroizm tysięcy bohaterów frontowych, przywykli już poprostu patrzyć na te rzeczy, jako na coś zwykłego. nie wychodzącego poza normy dzisiejszego porządku świata.

Pierwsze wstrząsy entuzjazmu, czy przerażenia już minęły, po nich nastąpiły dziesiątki i setki innych, może jeszcze silniejszych i nerwy ludzkie już stępiły się na tych krwawych widowiskach, nie działa już na nie poświęcenie się jednostki, bo były świadkami ofiary i klęski, czy zwycięstwa, rzec można miljonów.

Następnie kierunek i metody pism dzisiejszych, szczególnie literatury brukowej, idąc po linji najmniejszego oporu i schlebiając niezawsze szlachetnym potrzebom ogółu, tak również umieją wyjaskrawiać każdą drobnostkę i w takich barwach przedstawiać katastrofy i zbrodnie ludzkie, że dzisiaj społeczeństwo nasze jest, jak ów plebs rzymski za Nerona, widzem w Wielkim Cyrku Świata, na którego arenie rozgrywają się najdziksze tragedje, a ono klaszcze z uciechy w dłonie, podsycając jeszcze do ostrzejszej walki nieszczęśliwych gladjatorów i wołając bez pardonu: „macte!", „zabij"—byle mieć więcej wrażenia, więcej zapachu krwi i sensacji.

Zmieniły się ramy Colosseum, zmienili się widzowie i skazańcy, ale rzecz pozostała tą samą i tłum pozostał tłumem, wołającym nieustannie: „panem et circenses!„

Ogólne zobojętnienie religijne, zdziczenie moralne, nieliczenie się z uczciwością, a nawet wyśmiewanie jednostek ofiarnych, „niepraktycznych", jak się je powszechnie dzisiaj nazywa i „nie z tego świata", sprawiło również, że przykłady największych ofiar jednostek uważa się conajmniej za „nic na czasie", albo wogóle za zbyt utopijne na dzisiejsze warunki, odziera się je z aureoli szlachetności, a widzi się tylko brak materjalnego zysku i fala powszednia pokrywa je bezpowrotnie.

Wiele jeszcze innych przyczyn wyliczyćby można ze strony społeczeństwa.

Ale nietylko społeczeństwo, jako takie, zawiniło w tym względzie. Winniśmy również i my, których obowiązkiem jest kierowanie ideami społecznemi i żywienie dusz ludzkich.

Wina nasza w tem jest, że nie umiemy wykorzystać dobrych przykładów, albo przedstawiamy je w sposób nieodpowiedni, nietrafiający do przekonania, wyobrażeń, ani potrzeb duchowych dzisiejszego społeczeństwa.

Życiorysy świętych i wielkich ludzi opracowuje się sucho po kronikarsku, podkreśla się w nich same cudowności lub nadzwyczajne strony ich życia, ich wiekopomne dzieła, a nie odtwarza się ich ludzkiej, powszedniej strony. W rezultacie z pod pióra wychodzi jakiś pół-bóg, pół-człowiek, w każdym bądź razie wzór niedościgniony, przytłaczający swoją niecodziennością, nieprzydatny na żaden użytek powszedni, nadający się jedynie, by go powiesić w ramkach i palić przed nim świeczkę. albo umieścić wprost w ołtarzu i wzdychać ku niemu w niemym, bezpłodnym zachwycie.

Tymczasem ci wszyscy bohaterowie i święci byli ludźmi zwykłymi, tak, jak i my wszyscy i na tej zwykłej, naturalnej podstawie, z pomocą łaski bożej, z którą umieli wiernie współpracować, zbudowali ogrom swych dzieł i doszli do bohaterstwa i heroizmu.

Ale przejść musieli przez wszystkie fazy ludzkiego myślenia i uczucia, przez wszystkie wahania i wątpliwości nasze, przez cały proces rozwoju ludzkiego umysłu, serca, przekonania.

Nie znamy psychologji tych ludzi i dlatego tak nas oni mało pociągają, bo tam właśnie, w tej ominiętej w opisach wewnętrznej stronie ich życia, leży to, co dla nas byłoby najbardziej zrozumiałem i pociągającem.

Patrzmy na nich, jak na ludzi i oczami ludzkiemi, a znajdziemy to, czego potrzebuje nasza dusza.

Amicus.

BOHATEROWIE WIARY.

Stygmaty św. Franciszka z Assyżu.

17 września.

Fakt ten, historycznemi dokumentami stwierdzony, uważać musimy za formalny cud, który jednak, choć w całej swej istocie nadprzyrodzony, był skutkiem i niejako zewnętrznem ze strony Boga potwierdzeniem, tego szczytu wewnętrznego misty-

cznego życia, do którego wzniosła się w swym stopniowym rozwoju dusza Assyskiego słonecznego śpiewaka.

Było to na dwa lata przed jego błogosławioną śmiercią, w chwili, gdy w samotnej pustelni na górze Alvergno, obcując jedynie z Bogiem i naturą, to znaczy u dwu źródeł najwyższej prostoty i miłości, doszedł do ostatecznej syntezy swych idei życiowych, które skoncentrowały się i skupiły w okrzyku, jaki wydarł mu się z duszy: „Bóg mój—i wszystko!".

Stało się wtedy jasnem, że dokonała się we Franciszku mistyczna przemiana całej jego istoty, nie na sposób panteistyczny przez rozpłynięcie się w Bogu-Wszechświecie, ani, jak w buddyzmie, przez zanurzenie się w nirwannie—ale, przeciwnie, przez wypełnienie się całkowite, najzupełniejsze, aż po brzegi duszy—Bogiem, który stał się dla niego wszystkiem i w którym jedynie widział, czuł i rozumiał wszystko.

Jest w duchowym, normalnym zresztą zupełnie, rozwoju człowieka to prawo syntezy, mocą którego wszystkie idee, poprzednio osobno ujmowane i realizowane stopniowo, coraz bardziej się scalają, jednoczą i skupiają, rosnąc w treść, pogłębiającą się z dniem każdym, coraz się bardziej upraszczają, obejmując jednocześnie zakres coraz obszerniejszy, aż staną u szczytu jedności i prostoty, skupiając w sobie wszystko, jako już jedyna idea życia, iedyne kryterjum i źródło życia i działania wszelkiego i jedyne hasło życiowe, jak u Franciszka: „Bóg mój—i wszystko!"

Szczęśliwi są już tacy ludzie, mocni i nieugięci, a jednocześnie z całem słońcem miłości i radości w duszy, z uśmiechem na ustach, jakby refleksem owego słońca wewnętrznego, rozumiejący i współczujący wszystkiemu, a sami nienaruszeni w swym pokoju już wiecznością przejętym, patrzący z tych wyżyn ducha na łoskot i chaos świata zewnętrznego, idąc z tym światem, jako jego duchy dobroczynne, jasne i słoneczne, jako oś jego równowagi i kanały nadprzyrodzonej łaski, miłości i prawdy nieskończonej.

Są to istoty, łączące niebo z ziemią ludzką, wśród ludzi żyjące, ale duchem już przebywające w nieskończoności, z namaszczeniem i całą promiennością prawdy i radości wiecznej.

Franciszek—to człowiek jednej idei życiowej — nic więc dziwnego, że idea ta, przenikająca nawskroś jego istotę, odbiła się, nie bez nadprzyrodzonego boskiego wpływu, znakiem ze-

wnętrznym na jego ciele, jako stygmaty Męki Chrystusowej, która była kiedyś najwyższem tej idei spełnieniem.

„Bóg mój—i wszystko" —oto dosłowne tłomaczenie stygmatów franciszkowych.

Wniknijmy w duszę Franciszka.

Naturę miał wrażliwą i przebogatą, śpiewak, prawdziwy artysta z bożej łaski, dziecko słonecznej Italji, skąpany w jej słońcu od zarania życia, a przytem nieskalany i czysty, a więc otwarty na działanie nieskończonego słońca łaski, przenika się nawskroś tą jasnością słoneczną, żarem i radością, jaką znajduje w promiennem obliczu Boga-słońca, którą widzi odbitą wszędzie, którą wchłania wszystkiemi porami swej duszy i którą wypowiada w najradośniejszym hymnie do słońca, gdzie wszystko jest mu bratem i siostrą, nawet burza piorunna, nawet śmierć, jako uśmiech wieczności.

Ujrzał jasną twarz boską i... poszedł przed siebie, śpiewając wszędzie ten hymn radości, który z istoty bożej na duszę jego spłynął.. szedł, śpiewał i głosił wszędzie miłość i radość, pociągając za sobą tłumy, niezdolne oprzeć się czarowi tej pieśni i natchnionego uśmiechu. Tyle bowiem jest w duszy każdego człowieka tęsknoty i umiłowania radości i słońca, jako naturalnego przeznaczenia do szczęścia, tylko zastygło to w duszy, fala i kurz, a nieraz błoto życiowe pokryło je jak kurhanem mogilnym ze zwiędłemi kwiatami ułudnej pociechy chwilowej... ale nie zamarło i nie może zamrzeć nigdy—bo iskra boża nie gaśnie ani pod wodą, ani pod ziemią, ani nawet pod gruzami ruiny życia duszy.

Franciszek, jako jasny promień ze słońca bożego wypłynąwszy umiał obudzić te drzemiące moce, a przeniknąwszy proch grobowy dusz, uderzył w struny, które tam porwane i przywalone wiekowym pyłem i gruzem leżały bez tchu i żadnego czucia, a pod tem uderzeniem potężnem, drgnęły, przebudziły się, wstąpiła w nie dawna moc i jasność, przebiły zabójcze zwały, wydobyły się na jasny świat i... zagrały wraz z tą franiciszkową pobudką, wspólny, wielki, przecudny hymn radości życia, bożego życia, pełnego przecudnych tonów i melodji, całą symfonję słonecznego Królestwa Bożego na ziemi.

I stało się, że dokoła Franciszka cały świat zajaśniał, zadrgał radością i szedł ten jedyny w historji pochód, jak pro-

mieniejąca, słoneczna wstęga, opasując dokoła całą kulę ziemską.

A on szedł i śpiewał i promieniował coraz mocniej, coraz intensywniej i skupiała się w nim dusza coraz bardziej, stawała się z każdym momentem coraz bardziej jasną i zjednoczoną, jak ogniste słońce, aż w niej wszystko jednem się stało i nie było już żadnej drugiej myśli, ani uczucia, jedno...... „Bóg mój — i wszystko!”

I wtedy, jakby po Chrystusowem „Wypełniło się”, stał się i on, jak Chrystus, ze znakami najwyższej ofiary miłości na ciele, z tem zewnętrznem od Boga samego świadectwem dokonanego wypełnienia duszy.

Człowiek jednej—słonecznej—przejasnej idei życia!

T. P.

Bł. Ładysław z Gielniowa, Patron Warszawy.

25 Września.

Bliski nam, bardzo nawet. Możemy codziennie dotykać śladów jego życia wśród nas, choć żył już dawno, bo pod koniec wieku XV-go, a umarł w r. 1505-ym.

Wielkopolanin z Gielniowa pod Gnieznem, całe jednak swe późniejsze, apostolskie życie spędził wśród nas, w Warszawie i tutaj jako jej Patron, pozostał nazawsze.

Nic w jego życiu niema nadzwyczajnego. Był zakonnikiem zwykłym, synem ś-go Franciszka z Assyżu, choć przez jakiś czas pełnił urząd gwardjana w klasztorze warszawskim, a nawet całej prowincji polskiej Wikarjusza. Tyle jeszcze podobnych jemu było i jest zakonników... a jednak nie o każdym pamięć pozostała, jak po nim bo on był prawdziwym, dobrym, konsekwentnym, a więc świętym zakonnikiem.

Jest wiele powołań na świecie. Każdy człowiek ma swoje specjalne powołanie. Wszystkie one dążą ku jednemu: by stało się powszechne Królestwo Boże na ziemi, ukoronowane później szczęśliwą wiecznością. Tylko tak, jak w każdem Królestwie, przeróżne są stanowiska i urzędy, każdy obywatel, choćby najskromniejszy, jest jednem z kółek całej maszyny państwowej i wszystkie one, działając po swojemu, na swojem miejscu, spra-

wiają, że wielkiem się staje to państwo i naród — tak również w Królestwie Bożem na ziemi różne są funkcje i obowiązki, różne powołania, czy jako wodza i ministra, czy jako żołnierza prostego, czy urzędnika lub pracownika w warsztacie, albo na roli... Większość powołana jest, by w swojem kółku rodzinnem, duchem bożym przenikniętem, być ową komórką i fundamentem królestwa. A niektórych Bóg sobie wybiera, jakoby swą świtę przyboczną, oddzielając ich od doczesnych spraw tego żywota, a powołując do wyłącznej swej „pałacowej” służby, w modlitwie i kontemplacji, w cichej, nieznanej światu ekspijacji i pokucie za niepamięć innych, jako sól ziemi, lub jako jej światłość, gdy przykładem życia i słowem natchnionem głoszą, jako heroldowie, naukę o miłości i jasności Nieskończonego Boga.

Bóg jako włodarz na włodarstwie swojem, rozdziela jak i komu chce te obowiązki i powołania. I nie można ich sobie zazdrościć, albowiem w oczach Boga wszystkie one jeden charakter mają, a „komu więcej dano, więcej od niego będą żądać”. Jedynym obowiązkiem każdego jest wiernie i doskonale wypełnić to, co jemu w tem Królestwie Bożem do wypełnienia powierzonem zostało.

A gdybyż tak było, jakżeby Królestwo Boże rozszerzało się i olbrzymiało z dniem każdym i ile byłoby prawdziwej radości i słońca na ziemi!

Zakonnik — to dworzanin boski, gwardzista i przyboczny adjutant dobrego Boga. Wybrany z tysiąca, odłączony od świata i jego codziennych trosk, wezwany już za życia ziemskiego do „radości swego Pana”—ma jedno tylko przed sobą: — życie wyłącznie dla Boga. Służba boża—to jedyny, bezpośredni cel jego życia. Modlitwa i cicha ukryta praca, wszystko z Bogiem i dla Boga, a przy każdej sposobności i na wszelki sposób głoszenie słowem i czynem światu całemu i każdemu z najmniejszych, jak dobrym jest Bóg—oto treść takiego życia.

Najpiękniejsze powołanie—ale jak trzeba mieć duszę wzniosłą i szlachetną, ile trzeba mieć prostoty i jasności, żeby tę łaskę zrozumieć i wyczuć i przejąć się nią tak, by naprawdę stała się jedyną treścią całego życia.

Bóg i jasna wieczność— nie poza tem, żadne doczesne marzenia i nadzieje. „Bóg mój i wszystko!”

Wtedy niema nic niepodobnego dla duszy takiej, albowiem wolną się staje od wszelkich względów i obaw i od wszelkiej samolubnej myśli.

Lecz... jeśli nie dorosła dusza do tej wzniosłości, jeśli nie umiała zdobyć się na to zamknięcie oczu i uszu na wszystko, co ziemskie i nie wpatrzyła się całą siłą wzroku w szeroką i prostą i jasną drogę, która otworzyła się przed nią, lub nie ujrzała u jej krańca Promiennego Boga, a za Nim słoneczną nieskończoność... i odważyła się wstąpić w bramę królewskiego pałacu i wejść do szeregu dworzan pańskich... nieszczęśliwy prawdziwie to człowiek!

Ładysław zrozumiał, co znaczy być dworzaninem pańskim i to była jego wielkość, albowiem spełnił, co był powinien. To też go widzimy pełnym zawsze pokoju i radości duszy, choć opuścił wszystko, czego nie zrozumie nikt, kto nie jest z Boga. Sapienti sat!.. Bodajby za tem poszły i czyny. *T. P.*

Wszystko ma swą rolę.

Wszystko ma swą rolę
i miejsce w kosmosie.
W zdarzeń dziwnem kole
każdy ma swą rolę
i swą parabolę
w pozornym chaosie.
Wszystko ma swą rolę
i miejsce w kosmosie.

Jan Tarwid.

Michał Bużewski.

Na drodze do beatyfikacji.

Stare przysłowie łacińskie powiada, że „tempora mutantur et nos mutamur in illis“. Rzeczywistość potwierdza prawdziwość tych słów. Obserwować można to na bardzo wielu przykładach, najcharakterystyczniejszą jednak jest ewolucja niektórych pojęć. Lat temu kilkadziesiąt za bohaterstwo miano jeno mężne czyny na polu walki, dziś heroizmem nazywa się cały szereg innych szlachetnych uczynków, a podobnie przedstawia się sprawa z pojęciem zwycięstwa. Kiedyś znano tylko

zwycięstwo orężne w wirze bitwy, lub w szrankach turniejowych. Doba bieżąca rozróżnia zwycięstwa inne, nadając im miano rekordów. Być zwycięscą, być rekordzistą — to marzenie i pragnienie wielu jednostek, które zaspokojenie swoich ambicyj znajdują w zawodach i konkursach, dochodzących w większości wypadków do absurdu, w czem celuje zwłaszcza Ameryka Północna. Rekordy ustanawiane są na przeróżnych polach. Przedewszystkiem na ustanawianiu ich opiera się dzisiejszy sport. Nie na tem jednak jest koniec, bo oto raz po raz czytać można w pismach wiadomości o nowym rekordzie w długotrwałości tańczenia bez przerwy dzikiego charleston'a, o nowym rekordzie bezustannego mówienia i tym podobnych dziwolągach. Wszelakiego kalibru rekordzistom wydaje się, iż spełniają wielkie czyny, wszakże są w złudzeniu, ponieważ, jak słusznie powiada autor „Pierwszego zwycięstwa",

„w oczach Boga te zwycięstwa
są niezbyt wielkie, ba, wręcz liche,
bo stokroć więcej trzeba męstwa, aby swą własnością zwalczyć pychę.
W obliczu Pana, co jest w niebie,
triumfy takie znaczą mało,
wielkim zaś dlań jest ten, co siebie
zaparł się z mocą niebywałą".

W okresie obecnej idjotycznej poprostu pogoni za rekordem, świat zapomniał o jedynem największem zwycięstwie, pokonaniu własnego ja, tudzież o największych zwycięscach własnej natury. Tymi ostatnimi byli w pierwszym rzędzie święci, a następnie zmarli „in odore sanctitatis", wśród których z grona Polaków wymienić należy o. Michała od św. Bartłomieja Bużewskiego, Karmelitę Bosego.

Pogrążony dziś w toni niepamięci świętobliwy zakonnik ten przyszedł na świat w drugiej połowie stulecia szesnastego, tego złotego wieku dla literatury polskiej, kiedy to część wyznawców Kościoła katolickiego w Polsce odpadła do setki niemal sekt, powodując przez to wzmocnienie się wiary w tych, co ostali się przy Nawie Piotrowej. Miejscem urodzenia o. Bużewskiego był Lublin. Wychowany przez rodziców w surowości obyczajów, czcigodny ten Polak stał się we wczesnem już dzieciństwie prawdziwą pociechą ich, gdyż był chłopcem skro-

mnym, posłusznym, pobożnym. Głęboko wyrytą mając w sercu bojaźń Bożą, grzechu unikał każdego, pomimo młodego zaś wieku lubił szczególnie długie chwile spędzać na modlitwie, modlił się jednak nie ustami jeno, nie było to bezmyślne recytowanie słów pacierza, lecz modlitwa szczera płynąca z głębi niewinnego dziecięcego serca.

Po dojściu do lat szkolnych młodziutki Bartłomiej — tak właśnie nazywał się o. Bużewski ze Chrztu św. — posłany został do szkół, gdzie, wedle słów o. Florjana Jaroszewicza, „do Mszy św., której nigdy nie opuszczał, z ochotą codzień służył do Spowiedzi i Komunji św. często nabożnie przystępował". Zaobserwowawszy w synu chęć do nauki, zwłaszcza przekonawszy się o jego zdolnościach z doskonałych postępów w nauce, przyjętym podówczas zwyczajem, państwo Bużewscy wysłali go zagranicę, ażeby tam nabrał ogłady i pogłębił swą wiedzę. Jedno z przysłów polskich mówi: „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi", to samo zaś powtórzyło się z Bartłomiejem. Rodzice posiadali co do niego swoje zamiary, tymczasem Stwórca pokierował nim całkiem inaczej. Po zwiedzeniu kilku państw europejskich, po poznaniu kilku narodów udał się młody podróżnik polski do Rzymu. To było osobliwem zrządzeniem Opatrzności Boskiej, bo oto tam, w Wiecznem Mieście, w tem sercu chrześcijaństwa, z jakowąś mocą ogromną obudziło się w duszy jego powołanie do stanu zakonnego. Od tego momentu był Bartłomiej niewolnikiem szczytnego pragnienia, od jakiego nie mogło oderwać go nic, nie wiedział wszakże jeszcze, co za zakon obrać i którą przyjąć regułę. Znalezienie się na rozdrożu jest wielce niebezpieczne dla młodego człowieka, wchodzącego w życie. By zeń wyjść zwycięsko potrzeba niezwykle silnego charakteru, niezwykle silnej woli. Pobożny młodzieniec posiadał te zalety, aliści w duchu jego walka wrzała namiętna, co potęgowało przebywanie w gronie ludzi różnego pokroju. W domu, względnie w szkole, otoczenie Bartłomieja stanowiły osoby pobożne, atmosfera panowała tam głęboko religijna, lecz tu tych pomyślnych warunków na nieszczęście brakowało, młoda natura znowu ciągnęła go do życia, pełnego uciech i zabaw. Sytuacja była nad wyraz grożna, atoli syn państwa Bużewskich powiedział sobie, że nie zachcianki, nie okoliczności nim rządzić będą, ale on niemi będzie władać, jako pan. Takie postąpienie było wstępnem zwycięstwem nad sobą.

Mieszkając w Rzymie nadal, zapoznał się z o. Andrzejem Brzechwą, Karmelitą Bosym przebywającym w zakonie owym od 1603 r. U tego zakonnika polskiego, który był pierwszym Polakiem, członkiem Karmelu, zreformowanego przez św. Teresę od Jezusa, Bartłomiej przebywał dosyć często, a czynił to dlatego, ażeby zaciągnąć odeń informacyj o zakonie karmelitańskim. Co dnia zachodził do klasztoru o. o. Karmelitów Bosych, w kościele codziennie modlił się gorąco o oświecenie, dokąd się zwrócić, aż wreszcie chwila decydująca nadeszła: oto młody przybysz z Polski zdecydował się wstąpić do Karmelu.

Skoro zgłosił się do przełożonych karmelitańskich z prośbą o przyjęcie, ci przyjęli go z otwartemi rękoma, w następstwie czego włożyli nań habit swój, habit zakonny, zmieniając imię jego chrzestne Bartłomiej na zakonne Michał od św. Bartłomieja. Po obłóczynach pobożny nowicjusz rozpoczął nowicjat, w czasie którego nastąpiła recydywa zmagań wewnętrznych. „Wyrazić słowy nie można—pisze autor „Matki świętych. Polski"—z jaką gorącością ducha ten nowy żołnierz zaczął Bogu służyć, czego mu zazdroszcząc, duszny nieprzyjaciel różne szturmy na niego przypuszczał, już mu to zohydzając zakon, już afekt ku rodzicom, porzucone bogactwa, już ostrość zakonną przed oczy stawiając".

Gdy dowiedział się o postępku syna ojciec, postąpił tak, jak przed niedawnym czasem ojciec św. Stanisława Kostki. Oburzony do żywego rodzic o. Michała, wysłał do nowicjatu list, w którym, jak podaje o. Jaroszewicz, pisał: „Niewdzięczny i lekkomyślny synu, także się to z uciśnionym ojcem obchodzisz? I taż to wola moja była, żebyś sobie taki stan obrał, ty, z któregom się podpory spodziewał? Gdybyś sobie był według woli mojej stan obrał, miałbyś był ojcowskie błogosławieństwo, ale żeś nią pogardził, za błogosławieństwo i miłość ojcowską będziesz w niechęci serca mego". Na to o. Bużewski odpowiedział: „Gdyby mnie nie nauczała wiara, że mam w niebie Najwyższego wszystkich stworzeń Ojca, w inszembym miał poszanowaniu ciebie, ojca ziemskiego, i inaczejbym się starał o łaskę i błogosławieństwo twoje ojcowskie, ale, żem się udał na służbę tego Ojca, który wziął do mnie pierwsze prawo ojcowskie, stworzywszy mię na obraz i podobieństwo swoje i z krwi ludzkiej uformowawszy, nie mogę Mu tej niewdzięczności pokazać, że-

bym mu się wszystek nie miał poświęcić. Jednak ci za opiekę ojcowską dziękuję z wielkim afektem i uniżonością, a Tego, który jest pierwszym Ojcem, nigdy nie odstąpię".

Pokonawszy zwycięsko piętrzące się trudności, oddał się świętobliwy nowicjusz pracy nad własnem uświętobliwieniem. Ćwicząc się w cnotach zakonnych t. zn. ubóstwie, posłuszeństwie, czystości, osiągnął wysoki stopień doskonałości duchowej i zdobył zupełne panowanie nad swemi zmysłami, w czem ogromnie pomagały mu umartwienia. Ponieważ podczas próby nowicjackiej dał dowody wielkiej świętobliwości, niebawem dopuszczony został do ślubów uroczystych, poczem otrzymał święcenia kapłańskie. Zanim odprawił Prymicje, odbył przedtem dziesięciodniowe rekolekcje, a wogóle Mszę św. odprawiał z tak wielkiem przejęciem, iż, zdaniem pewnego żywotopisarza, „przytomnych na nabożeństwie do łez i zbudowania pobudzał".

Jako kapłan, pracował głównie na niwie pedagogicznej, wykładał bowiem w Rzymie filozofję i teologję, słynąc ze swej nauki daleko i przynosząc sławę imieniu polskiemu. Kiedy za panowania króla Zygmunta III Wazy o.o. Karmelici Bosi osiedlili się na ziemiach Polski, powrócił do ojczyzny również o. Bużewski, żeby nadal prowadzić wykłady filozoficzno-teologiczne. Praca na katedrze była terenem działalności o. Michała z woli przełożonych, lecz nadto wolne chwile poświęcał on słuchaniu spowiedzi i zdobył sobie opinję doskonałego spowiednika. „W słuchaniu... spowiedzi był niespracowany, — wyraża się o nim jeden z biografów—a ludzie, wzbudzeni jego pobożnością, tłumami się do niego garnęli i z wielkim pożytkiem dusz swoich od niego odchodzili. Porzucali złe nałogi, jednali się z nieprzyjaciółmi, nagradzali krywdy, do zakonnego życia przystawali".

Po pewnym czasie pracy zesłał Bóg Wszechmogący ciężką próbę na o. Michała: oto dotknęła go ślepota obojga oczu. Wiedząc, że wszystko czyni Pan Zastępów dla naszego dobra, świętobliwy zakonnik nie skarżył się ani razu, ale z poddaniem znosił kalectwo, ufny, iż Odkupiciel nie pozostawi tego bez nagrody. Aczkolwiek nie widział o. Bużewski nic, czynił, co mógł, by być pożytecznym dla bliźnich. Nie mogąc już wykładać, z chęcią pomagał innym teologom w rozwiązywaniu wątpliwości, byleby tylko przyczynić się do nawrócenia heretyków, czemu poświęcał się z zapałem przed oślepnięciem, wówczas zaś na-

wrócił siedmiu arjanów. W tym oto okresie przedewszystkiem działał w konfesjonale, ojczyźnie natomiast niósł pomoc modlitwą. Przed wyruszeniem na wyprawę wojenną przeciwko Turczynowi, modłom jego polecił się król Władysław IV Waza i rzeczywiście odniósł zwycięstwo, co mu o. Michał przepowiedział z dokładnem oznaczeniem dnia.

Całe życie czcigodnego tego Karmelity Bosego wypełniała modlitwa i praca, życiową dewizą jego była maksyma: „Ora et labora!", a tak postępował do momentu swojej śmierci, co nastąpiło w Krakowie w 1641 r. Jak zaznacza o. Jaroszewicz, jeszcze za życia o. Bużewskiego mówiono: „O, jako ten ojciec prawdziwie świętym jest zakonnikiem, który o nic nie stoi, tylko o chwałę Boską i zbawienie dusz!", skoro go zaś nie stało, powszechnie mawiać poczęto, iż poszedł on do nieba po koronę świętości. W szczególny podziw wprowadzał biorących udział w pogrzebie wygląd twarzy o. Michała. Zazwyczaj była ona wynędzniała, zmizerowana chorobą, po zgonie natomiast stała się dziwnie piękną. Ciało o. Bużewskiego złożono na wieczny spoczynek w zwykłych grobach zakonnych, po paru jednakowoż latach znaleziono je zachowane w całości, nieskażone ani trochę, chociaż w grobowcach były sprzyjające rozkładowi warunki. Współbracia zakonni, celem dokładnego zbadania tego faktu, poprosili osobną komisję, złożoną z medyków, i ci orzekli, że przyrodzone środki nie mogły spowodować nieskazitelności zwłok, lecz utrzymuje je w całości siła nadnaturalna. Gdy Kraków opanowali Szwedzi, znalazłszy niezepsute ciało o. Michała w klasztorze o.o. Karmelitów, wrzucili je ze złości w niegaszone wapno, gdzie pozostawało przez cały przeciąg okupacji szwedzkiej. Po opuszczeniu miasta przez Szweda zakonnicy karmelitańscy odszukali czcigodne zwłoki i znaleźli je w takim stanie, jakby o. Bużewski dopiero co skonał. Początkowo złożyli oni ciało w szafie w bibljotece, zaś w 1730 r. ustawili je tamże w szklannej trumnie na katafalku. Oglądać je chodziło mnóstwo osób, między innymi był tam autor „Matki świętych, Polski", który o pobycie swoim mówi w swem dziele: „To ciało ja sam oczyma memi widziałem i rękami się dotykałem i woń przewdzięczną, z niego wychodzącą, czułem".

Obok tego oczywistego cudu, Bóg wsławił sługę Swego innemi jeszcze łaskami, o których sąd ostateczny należy do Sto-

licy Apostolskiej. Wkrótce po wystawieniu zwłok na katafalku zaszedł obejrzeć je jakiś luteranin. Stojąc przy trumnie, jął on naśmiewać się z rzekomej łatwowierności katolików i wyjaśniać nieskażoność środkami naturalnemi. Za niedowiarstwo swe rychło został ukarany, albowiem przy schodzeniu ze schodów spadł tak niefortunnie, iż nie mógł chodzić. Długo leczył się u przerozmaitych lekarzy, kosztowało go to niemało, aliści wyzdrowienia nie przynosiło. Zrozpaczony, zaczął żałować swego niewłaściwego postępowania i zwrócił się w kornych modłach do Boga, prosząc o uleczenie za przyczyną o. Michała, w następstwie czego natychmiast powstał zdrów.

O. Bużewskiemu też przypisywało swe oswobodzenie z niewoli moskiewskiej trzech Polaków, jemu również przypisał ocalenie kamienicy od pożaru ks. Dominik Lochman, kanonik krakowski, jemu wreszcie przypisano cały szereg przeróżnych uzdrowień. Podług świadectwa o. Jaroszewicza, „choć innych łask dowody poginęły, niektóre jednak autentyczne świadectwa znajduja się u o.o. Karmelitów Bosych, przez które ludzie nabożni wzbudzają się do nadziei w zasługach tego sługi Boskiego”.

Czcigodny o. Michał Bużewski—to jeden z tych ziomków naszych, o beatyfikacji, których, było ongiś dość głośno, dziś jednak o nim, niestety, zapomniano, podobnie, jak o wielu innych. Taki stan musi ulec zmianie, „należałoby się—woła wielki czciciel świętych polskich, Józef Stanisław Pietrzak — jakoś zorganizować i wspólnie w tym kierunku działać i wołać zbiorowemi głosy o cześć świętych ziomków naszych, a to tak głośno, by nas cała usłyszała Polska, jak długa i szeroka od morza do morza, by echo wołania naszego dotarło aż do Stolicy Piotrowej i dalej, na końce świata, powinien głos nasz dolecieć i cześć świętych polskich głosić, bo oni są koroną i chwałą sarmackiego plemienia i ducha. To jest święty nasz obowiązek, jeżeli w rzędzie narodów katolickich należne miejsce mieć chcemy i misję swoją spełniać wśród nich”.

Józef Marjan Chudek.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

W słońcu.

Chciałoby się zastygnąć w locie, rozpostrzeć szoroko skrzydła i znieruchomieć w bezkreśnem przestworzu, zalanem jaśniejącem słońcem i kąpać się w tych blaskach, jak w krynicy przeczystej, ażby i ciało i dusza przejaśniały nawskroś i stały się słonecznemi, jak ów promień, który je przenika.

Do słońca rwie się wszystko w człowieku—tak go potrzebują nietylko płuca i oczy, ale dusza cała, spragniona jasnej radości.

Oto wielka kula ognista wytoczyła się z podziemi na przestronny gościniec niebieski. Jasna i uśmiechnięta, trysnęła odrazu tysiącem i miljonem blasków, łagodnych początkowo, zaróżowionych z lekka, przenikniętych jędrnością świtania, potem coraz jaśniejszych, jaskrawszych i śmielszych, coraz bardziej mocnych i palących — aż zatrzymała się pośrodku nieba, jak królowa, rozrzuciwszy tren swój długi na wszystkie strony świata, majestatyczna w swej mocy, a ciągnąca ku sobie nieprzeparcie swą jasnością, blaskiem, żarem swoich oczu, przez które nieskończoność słała na padoły ziemskie strumienie życia i radości.

I stanęła w słońcu ziemia cała—okryła się płaszczem swej królowej, wyjrzała ku niej z pod zamglonych początkowo powiek, a rozpoznawszy twarz swej pani i matki uśmiechnęła się cała ku niej i wyciągnęła jakoby ręce, niebotyczne szczyty górskie, wierzchołki drzew, wieżyce swych kościołów, kominy i dachy fabryk i domostw... nawet najmniejsze źdźiebełko pokorniuchnej trawki wychyliło swe blade obliczko i przesłało swój uśmiech— ku słońcu.

A wraz z tym uśmiechm zmieniła się kraina wszelka, zniknęły mgły i mroki, ożyły zmrożone chłodem nocy liście i kielichy kwiatów i las, taki straszny w ciemności stał się jakoby wielką przestronną salą, w której miljony śpiewaków słonecznych śpiewało wielką symfonję świata, a teren przyziemny zaroił się od mnóstwa żyjątek, każde o innej barwie, z innem zawołaniem, na swój sposób ciesząc się z życia i ze słońca.

Nawet ponure czeluście fabryk, podwórca zatłoczone, liche lepianki i nory, nawet cmentarze, miasta umarłych, gdzie jeno

wiew śmierci czuć na każdym kroku... wszystko ożyło, wypiękniało, zajaśniało całą tęczą... w promiennem słońcu.

A ponad tem słońcem ziemskiem, które jednak później ku zachodowi schodzić musiało i zgasło wreszcie, rzucając już z poza chmur ostatnie tęskne wejrzenie na ukochaną ziemię, jaśnieje dniem i nocą nigdy niegasnące słońce—Najlepszy Bóg.

Choćby kto tysiące i miljony słońc naszych w jedno wielkie zapalił słońce i choćby powielekroć pomnożył i wzmocnił jego promienie i wszystko życie i radość, które one ze sobą niosą,—jeszczeby to nie wyrównało nigdy nawet cząstce tego Boskiego słońca, którego miarą jest bezmierna nieskończoność. Od początku istnienia swego kąpie się świat cały w promieniach tego słońca—choć przeciągają burze piorunne, choć padają gromy, choć ziemia w posadach drży i wszystko pada w gruzy, choć z łoskotem mocniejszym od gromu, pękają pociski śmiercionośne, które człowiek rzuca na człowieka, a dymy zabójcze przysłaniają wszystko dookoła... ponad tą grozą kataklizmów, ponad czarnemi chmurami i kłębami nawet złości i przewrotności ludzkiej i szatańskiej, świeci zawsze to Słońce Najjaśniejsze i nic i nigdy nie zgasi go, ani zasłoni.

Gdybyż biedni ludzie mieli oczy otwarte, gdyby mieli dusze na działanie tych promieni odkryte, gdybyż mogli poprzez wszystkie życiowe wstrząsy widzieć te promienie jasne i czuć na sobie ich działanie... gdybyż mieli tę świadomość, że jest to Słońce niegasnące zawsze nad nimi... jakżeby inaczej wydał im się świat cały i wszystkie ciężary życia!...

Dlaczegóż nie umiemy patrzyć, ale znękaną twarz kryjemy w dłoniach lub nurzamy ją w prochu ziemskim, a nie mamy odwagi by spojrzyć w górę, w to słońce, źródło mocy, pokoju i radości?.. Obeschłyby prędko łzy nasze i rumieniec powróciłby na wybladłe i zapadłe policzki, i serce rozgrzałoby się nanowo pragnieniem i radością, życia, a z oczu trysnęłyby znowu potoki jasności i szczęścia.

O! bo w słońcu wszystko radować się musi, i żyć musi, i promieniować, i rosnąć i pięknieć w każdej swej cząsteczce, ażby wszystko w nas stało się słońcem, a my jego radosnemi promieniami.

Ks. A. Bogdański.

Modlitwa po przebudzeniu

Już noc minęła,—pierzchły senne mary...
Już wstaje słońce na różowem niebie,
Śląc swych radosnych blasków złotych czary...
Do Ciebie, Panie, co królujesz w niebie,
Ślę moje pierwsze myśli w górne strony: —
Bądź pochwalony!

Tyś stworzył świat ten swojem Boskiem tchnieniem,
Gdyś wydał światu rozkaz: — Niech sie stanie! —
Tyś go zapełnił wszelkiem stworzeniem, —
I myśmy dziełem Twych rąk Bożych, Panie!
Za polnem kwieciem pachnące zagony —
Bądź pochwalony!

O! piękne, piękne byłoby Twe dzieło, —
Gdyby łza bólu po niem nie pociekła,
Gdyby dusz ludzkich tyle nie ginęło,
Przez grzech w rozwartą lecąc bramę piekła!
Lecz Tyś sam umarł, by świat był zbawiony —
Bądź pochwalony!

I nacóż, nacóż tyle zła na ziemi?
Patrz! jak tu pięknie: — błyszczą perły rosy,
Bór szumi pacierz liśćmi zielonemi,
I pieśń skowronka leci hen! w niebiosy,
Z kościołka wieży rozebrzmiały dzwony...
Bądź pochwalony!

O Panie, Panie! wybaw świat z niewoli, —
Pozwól, by świtu zabłysły nam słońca!
My tyle lat już w smutnej żyjem doli,
I wciąż nie widać męki naszej końca...
Wszak Ci śpiewamy pokornemi tony:
Bądz pochwalony!

I ja do Ciebie, chociaż prochem jestem,
Idę z mem sercem biednem, schorowanem;
Obmyj je, Panie, odkupienia chrzestem!
Bądź dla mnie Ojcem też, nietylko Panem!
Wówczas Ci ze czcią będę bił pokłony: —
Bądź pochwalony!

Bronisław Wiszniewski.

Chiny i chińczycy.

(Dokończenie).

Pierwszą powinnością rodziny zmarłego jest sprawdzić w kalendarzu, czy dzień, w którym nieboszczyk zmarł należy do szczęśliwych czy nieszczęśliwych w roku. Jeżeli do nieszczęśliwych, to nade drzwiami zawieszają sito—rozmaite wpływy zewnętrzne przesiewają się przez nie i przechodzą tylko dobre — oraz zwierciadło — posiada ono moc przemieniania nieszczęścia w szczęście. U drzwi zawieszono wstęgi papierowe z wiadomością o śmierci. Za nadejściem nocy krewni idą z latarniami, płacząc, do maleńkiej pagody polnej zawiadomić niebieskiego stróża polnego, Fu-ti-lao-je, że umarł człowiek i prosić go o względy dla niego, poczem spalają petardy, składają kadzidło i wracają do domu. Nazajutrz idą ponownie z latarniami w rękach do tejże pagody przyprowadzić z powrotem duszę zmarłego, gdyż bawiła ona przez ten czas w pagodzie. Żeby dusze odszukać, trą monetą o ściany domu, a gdzie moneta nieco przylgnie, tam właśnie siedzi dusza. Wróciwszy do domu nakładają w torebkę prowjantu na drogę dla zmarłego, umieszczają torebkę w papierowym palankinie lub wozie, zapraszają zmarłego, żeby siadł do tego wehikułu, i podkładają ogień. Wraz z dymem dusza odjeżdża w wielką podróż do wieczności. Ciała nie można wcześniej złożyć do trumny, niż w dzień szczęśliwy, więc czeka go rodzina, choćby w ciągu tego czasu miało zapowietrzyć całą dzielnicę dokoła. W takim wypadku na trupie kładą wielki nóż kuchenny, który jest ciężki i może za broń służyć; zmarły nie zdoła już uciec, i dusza jego nie będzie się uprzykrzać żyjącym.

Ponad trumną przeciąga się dwie nici, krzyżując je nad ustami zmarłego; stamtąd zwisa trzecia nitka, a na niej moneta, wchodząca w jego usta. Zabiera ją potem najstarszy z synów i ze czcią nosi na szyi jako amulet. Zmarły spoczywa w trumnie nie na słomie, lecz na małych torebkach, napełnionych wapnem, popiołem i ziemią, a jest ich tyle, ile lat przeżył na ziemi. Pod głową ma czerwoną półksiężycową poduszkę z wapnem i z popiołem. Pokrywa go czerwona kołdra watowa. Wkładają mu w ręce po garści ryżu, ażeby przebywając po drodze

siedzibę psów zgłodniałych, miał im co rzucić dla zaspokojenia. W nogach trumny od wewnątrz zawiesza się lusterko, a tak, obraz zmarłego, w niem odbity, zastąpi drugą śmierć i kto inny nie umrze tak prędko w rodzinie.

Zmaczaną w ciepłej wodzie serwetką obmywają po raz ostatni twarz zmarłemu, poczem ponad nogami przybijają do trumny płat płótna, który zabezpiecza twarz zmarłemu od kurzu. Teraz dopiero wypada przybić wieko, ale nie byle jakimi gwoździmi, tylko trzema owiniętymi trzema włosami z warkocza nieboszczyka. To zapewni rodzinie liczne potomstwo. Gdy wbijają gwoździe, syn klęka przed zwłokami i woła: „Ojcze, nie lękaj się, to tylko gwoździe wbijają!" Trumnę zamkniętą stawia się na dwuch ławeczkach, a w głowach stoliczek z tabliczką papierową i napisem na niej, dwiema czerwonemi świecami, miseczką ryżu, kogutem nieupieczonym, kadzielnicą i lampą olejną. Druga lampka pali się dzień i noc pod trumną, a za nią zwierciadło odbija obraz śmierci.

Na trzeci lub piąty dzień po zgonie rodzina, gdy bogata, zaprasza do siebie bonzów; ci pomagają duszy przejść przez most boleści nad czerwonym potokiem, w którego nurty dwa szatany: krótkie życie i nagła śmierć, zwykły strącać przechodzące dusze. Bonzowie przybywają w procesji i za nastaniem nocy ustawiają się przed domem zmarłego. Przede drzwiami urządzono rodzaj mostu ze stołów, nogami do góry: na końcu każdej nogi płonie latarnia. Starszy bonza w pięciorogim kapeluszu na głowie wstępuje na wzniesienie przed mostem, stamtąd mamrocze zaklęcia i zrzuca na dół placki, a gapie chwytają je na wyścigi. Na tem koniec ceremonji; bonzowie odchodzą.

Tabliczka umieszczona na stoliku z nazwiskiem zmarłego, — to przedmiot najważniejszy: siedziba duszy. Zostawia się ją w domu na przeciąg siedmiu tygodni. W tym czasie rodzina urządza przyjęcia dla znajomych, oni zaś przybywają w odwiedziny z podarkami, a są niemi przeważnie płaty satyny lub jedwabiu z wielkiemi literami, głoszącemi pochwały zmarłemu. Gdy trumna stoi w izbie na ławeczkach, przeprowadzają pod nią małe dzieci: to im doda w życiu odwagi: w tym również celu dają im spożyć nieco z potraw zastawionych u wezgłowia zmarłego.

Każdy, kto przybywa na pogrzeb, obowiązany jest przynieść ze sobą specjalne papierowe pieniądze i wręczyć je ceremonjarzowi.

Niezmiernie ważną jest rzeczą dobrze wybrać miejsce pogrzebania, od tego bowiem zależy pomyślność, stopnie naukowe i liczne potomstwo w rodzinie; gdy się chybi, nieszczęści się w domu. Do tej ceremonji zaprosić należy geomantę; ten wziąwszy w rękę specjalną busolę, określa według reguł swej sztuki, którędy przechodzą żyły szczęścia, gdzie jest jaskinia smoka, a gdzie przeszkody, których trzeba uniknąć. Dobry wybór nieraz wiele kosztuje rodzinę.

Znowu bonzowie otaczają trumnę i modlą się; gdy skończą, palą garściami monety papierowe. Wynoszą trumnę, a wtedy rozlegają się głośne płacze i zawodzenia — chwila to wielce uroczysta. Jeden z bonzów bierze w rękę wielki nóż i uderza nim w trumnę, a potem rozbija pustą miseczkę: budzi w ten sposób zmarłego i daje mu znać, że pora iść w drogę, Ciężką trumnę wynoszą na ulicę za nią stoliczek od wezgłowia. Syn przybrany w grubą żałobę białą i czapkę ceremonjalną, klęka i opiera się o trumnę, poczem na wezwanie bonzów odnosi do domu tabliczkę ojcowską i wraca. Gdy trumnę włożą na palankin, nim ruszą, syn bije czołem przed nosicielami, prosząc, by nieśli ostrożnie. Na wypadek gdyby źle spełniali obowiązek, bierze w rękę kij z długą wstęgą z białego papieru i bije nim tych, co zbyt wstrząsają ciało. Na wierzchu trumny siedzi uwiązany kogut, jako dobra wróżba

Postępują za sobą w takim porządku: przodem dwaj ludzie niosą białe chorągwie, wskazując drogę zmarłemu. Dalej siewca monet, z pełnym koszem w ręce, rzuca papierki przez całą drogę, ażeby zapewnić duszy wolne przejście. Niosą dwie figury z papieru, dziewczynę z filiżanką w ręce i młodzieńca z fajką; tych dwoje będą zmarłemu usługiwać po śmierci. Dwie małe górki z papieru srebrnego i złotego zapewniają mu niewyczerpaną obfitość tych cennych metali. Inni niosą krzesło podróżne z papieru, inni konia takiegoż i krowę naturalnej wielkości, dwóch rycerzy z maczugą i siekierą — ci usuwają przeszkody na drodze do wieczności, za nimi niosą tabliczki zmarłego, „pai“, które się otacza szacunkiem niby mandaryna, zmarły bowiem uzyskał na tamtym świecie wysoką godność

i cześć mu wielka przysługuje. Dalej na drążkach niosą specjalne insygnja w postaci rąk, toporów, młotów z cyny, podobnie jak w pochodach djabelskich. Za insygnjami postępuje orszak bonzów, przybranych w rodzaj kap, grających na fletach, uderzających w tam-tamy i mruczących modlitwy. W końcu czterech ceremonjarzy o stopniach naukowych, zamyka pochód.

Po wyjściu za miasto pali się figurki oraz insygnja. Zostają tylko proporce, te zatyka się na grobie, ażeby dusza po swych wędrówkach w przestworzu łatwiej odnaleźć mogła własny grób. Składają trumnę na ziemi, a tymczasem grzmi muzyka, pali się papierki, pękają petardy, wzmagają się lamenty i wszyscy padają na ziemię. Zakopują trumnę.

Często jednakże spotyka się trumny pozostawione w polu, gdzieś na zboczu wzgórza, nad rzeką, lekko przysłonięte słomą traw dzikich, którą wiatr wkrótce uniesie. Widziałem takie trumny, jedne wysokie, pięknie malowane na czerwono, z misternym deseniem w głowach, inne skromne, niskie, z szarych desek tylko. Rzeka wezbrawszy latem dwie takie trumny niosła wartkiem prądem. Jaka przyczyna takiego opuszczenia? Oto ta, że ciało ma czekać pory przyjaznej, a pora nie nadchodzi, albo też miejsca nie dobrano dotąd, wróżowie się nie zgadzają, albo wreszcie, że leży w niej ciało matki zmarłej przed dzieckiem.

Piękny bywa palankin żałobny; wysoki i długi, z czerwonej materji o ślicznym gęstym, barwnym hafcie, niesie go ośmiu ludzi. Często jeszcze na przedzie sterczy złocona głowa smoka z rozwartą paszczą, a niekiedy smoka w całości niesie przodem na głowach kilku ludzi, osłoniętych z wierzchu, jak gdyby potworna choć ozdobna gadzina piekielna wiodła swą ofiarę w czeluście otchłani wiecznej.

Jakaż to karykatura religji! Jak ciemne, głupie, potworne i nędzne wypaczenie wielkich idei nadziemskich. A jak jasnym blaskiem i świętością odbijają od tła tego nasze obrzędy kościelne w tychże krajach! Gdy wielka procesja wyruszyła w Boże Ciało z Kościoła świętego Stanisława w Charbinie i przeciągnęła zwolna przez miasto rosyjskie do chińskiego, to całe tłumy inowierców pociągnęły za baldachimem, niby za magnesem żelazo, i nawet obojętni poganie zdawali się na ten wi-

dok być porażeni jakąś nieznaną im mocą z wysoka. A w samej procesji szli polacy, rosjanie, chińczycy ochrzczeni, każdy na swój sposób oddając cześć w duchu i prawdzie Bogu utajonemu. To religja prawdziwa!

Gdzie indziej w Chinach pogaństwo trwa w apatji i bierności, w Charbinie jednak probuje występować czynnie. Widok licznych cerkwi i nabożeństw wystawnych u rosjan, widok napełnionego co święto i rozbrzmiewającego pieniami kościoła polskiego, pobudził władze chińskie do współzawodnictwa: niechże widzą biali, że i chińczycy zdobyli się na świątynię dużą i nabożeństwa urządzać umieją; przecież i oni mają religję nie gorszą od „białej". Do odrodzenia narodowego ma pomóc narodowa religja pogańska. Więc wypłynął rozkaz, sypnęli bogacze pieniędzmi i o dwa kilometry od kościoła, przy wielkiej ulicy w nowem mieście, przed dojazdem do cmentarza chrześcijan, stanęła świątynia pogańska. Wygląda ładnie, choć niedość znamiennie; brak jej wysokich pagód z zadartemi daszkami Wielki czworobok opasano ładnym murem, a wewnątrz wzniesiono trzy prostej formy niskie budynki przez środek i dwa takież po bokach. W środkowych mieszkają bałwany, a w bocznych bonzowie. Wjazd ładny: przez piękną bramę żelazną z rzeźbami, dwie grube wieże po bokach noszą styl chiński: na nich bonzowie biją w bęben wielki i w tam-tam. Zdala błyszczą żółte polewane dachówki i niebieskie mury: szeregi piesków czy lewków siedzą po kątach dachów. Ściany budynków sine z gładkiej cegły, słupy kolumnady czerwone, okna wielkie; a wewnątrz każdego budynku ołtarz na dwie strony, pośrodku na nim mosiężne Buddy, po rogach potworne wielkie bóstwa chińskie, o groźnych oczach, z nogami opartemi na grzbietach figurek ludzkich. Oto mieszkańcy Olimpu chińskiego.

Jakgdyby to nie wystarczyło, podjęły władze chińskie budowę drugiej pagody, ku czci Konfucjusza, i to w pobliżu tamtej. Musi tu być zapewne i oddźwięk nacjonalizmu, który dziś i do Chin się przedostał i rośnie nadzwyczajnie.

Wśród tej rozległej pustyni pogaństwa, niby mała oaza dla ducha, kryje się na jednej z dalszych ulic chińskiego miasta mały kącik katolicki. Zajął trzy rogi na przecięciu ulic, na jednym stoi piętrowy dom misyjny, na drugim nowy szpital: na trzecim niski kościółeczek i siedziba sióstr białych. W dn

święte kościółek się zapełnia po brzegi i żółci katolicy w powadze wielkiej i wzorowym porządku recytują jękliwym pół śpiewem różaniec i modlitwy według swoich książek. Siostry, franciszkanki misyjne francuskie zdobią modły śpiewem i grą na fisharmonji. Od czasu do czasu wypadnie uroczystość nadzwyczajna: raz chrzest dorosłych w Wielkim tygodniu, to znów pierwsza Komunja święta w czerwcu. Działanie wiary prawdziwej odbija się na twarzach tych ludzi: dawny wyraz błędny i do pewnego stopnia dziki ustępuje miejsca spokojowi i łagodnej powadze. Dobrani katecheci pracują tu co dzień w szkole, wraz z proboszczem, księdzem z Misji zagranicznych, nad młodem pokoleniem neofitów. Wolno jednak i mozolnie postępuje sprawa nawróceń.

Dusza chińczyka przesiąkła dziwną mieszaniną apatji i zabobonności. Cała wrodzona człowiekowi religijność jej wylała się w nich na zabobony i te wypełniły jego życie od kolebki do grobu. Religijność ta jest interesowną w najwyższym stopniu: chodzi mu nie o złożenie czci Bóstwu, ale o pozyskanie go sobie, ażeby oddalić nieszczęścia i sprowadzić na siebie pomyślność z nieba.

Ważnem rozdziałem w sprawie religijności chińskiej jest wróżbiarstwo. Czy to gdy senne marzenie uderzy uwagę chińczyka, czy gdy się w drogę wybiera, czy dom sobie stawia, czy ciało nieboszczyka składa do ziemi, nie uczyni kroku nie zasięgnąwszy rady z nieba. Niebo odpowiada nie samo, lecz przez pośredników. Stąd wyrobiła się od wieków osobna profesja wróżbitów. Ci uciekają się często, po miastach, do metod skomplikowanych, które spisane są w księgach, traktujących o zasadach wróżenia, a dziś nawet wydają czasopisma wróżbiarskie: nieraz na pamięć umieją takie księgi. Na wsi wróżbitą bywa najczęściej... ślepy, prowadzony przez chłopca na pasku i rzępolący, idąc ulicą, na dwustrunnej skrzypce lub pogwizdujący na flecie. Na ulicach miasta wróżbita siaduje w płótnem okrytej budce, za stolikiem, na którym leżą zwoje papieru, lub stosiki krążków drewnianych z literami, pęczki linijek bambusowych z napisami i tym podobne przyrządy. Tem też zarabiają sobie na życie. Sposobów odgadywania przeszłości jest mnóstwo: wróżą z „ośmiu liter”, z muszel podrzucanych w górę, z rysów twarzy, z ręki, ze stolików wystukujących

odpowiedź, z głosu ptaków, ze znaków kreślonych przez wiszący pędzel i tym podobnych. Księga Siuen-cze-pej-jao wykłada rozmaite stanowiska duchów radości oraz wpływów ziemnych i astralnych. Kalendarz Hoan-li, dziś za republiki wydawany ukradkiem, wyznacza drobiazgowo dni szczęśliwe i nieszczęśliwe i daje wskazówki, jak unikać złych i wybierać dobre, gdy chodzi o wyjazd, o budowę domu, o naprawę pieca, o zamówienie sobie sukni, o dzień pogrzebu lub ślubu. Gromady drobnych pismaków, w pogoni za zarobkiem, obsiadają bramy miast, rogi ulic, wejścia do pagody, gotowi zatroskanemu wskazać czas pomyślny. Dawny wicekról dwóch Kiangów, imieniem Czeu-Fu, całą swą karjerę zawdzięczał właśnie temu, że mu się udało wskazać Li-Hung-Czangowi pomyślny dzień na bitwę z Czang-mao. Zwycięzca pamiętał dobrze o swoim proroku i ze stopnia po stopniu wyniósł go na najwyższą godność. Na pamiątkę swego dawnego rzemiosła wicekról zachował na swym sztandarze „pa-koa" — heksagram wróżbiarski.

Na drugim brzegu Sungari, naprzeciw Fu-tsie-tienu, stoi spora cukrownia rządowa, Chu-lan-che zwana. W ostatnich latach źle szły jej sprawy, wobec współzawodnictwa cukru zagranicznego, polskiego zwłaszcza. Dyrekcja chińska postanowiła zaradzić złemu, lecz na swój sposób, po chińsku — wezwano gieomantę. Sprowadzono go z Mukdenu, z ramienia samego dyktatora. Ile to kosztowało, niewiadomo, ale to wiadomo, że orzeczenie jego przyprawiło fabrykę o trzydzieści tysięcy wydatku. Wnet bowiem poznał przyczynę niepowodzeń: dach na budynkach niski, brama w złą stronę zwrócona i komin fabryki sterczący w mieście na przeciwko, były fatalnemi błędami, i te należało natychmiast naprawić. Więc kazał dach podnieść — bez najmniejszego naturalnie pożytku, a naprzeciw bramy, nawprost owego komina, postawić murowaną zastawę. Niebawem inny jeszcze mur się przeprowadzi i bramę na inną stronę przeniesie. Jakiż sens tych niedorzecznych zabiegów? Głęboki! Proszę tylko zrozumieć. Zasada jest taka. Pod dobroczynnym wpływem wiosennego tchnienia przyroda wraca do życia, mnożą się liście, kwiaty — życie się potęguje. Gdy wioną mrozy północy, liść opada, trawa zamiera, życie w przyrodzie gaśnie — śmierć rozpościera swą władzę. Oto jak działa prąd dobry, jak zły. Prąd ożywczy to „dobry fong-szui". Gdy do-

brze umieszczone mogiły przodków należycie go przyjmują, potomstwo czerpie z żyły pomyślności, niby gałęzie, ciągnące soki odżywcze z korzeni. A znów przeciwnie, śmierć, wygaśnięcie rodziny, upadek dobrobytu, pochodzi ze złego położenia grobu, wystawienia go w stronę nieszczęśliwą, skąd płynie „zły fong-szui". Prąd pierwszy ciągnie z południa wraz z życiodajnem gorącem, prąd drugi idzie z mroźnej północy. Wszelaki przedmiot sprzyjający powiewowi dobremu, i przeszkadzający złemu, jest pożądany i o niego chińczyk się stara i odwrotnie.

Gieomanta, gdy zdolny, potrafi znaleźć położenie pomyślne, dobrze zabezpieczone przed złowrogim, mroźnym „in", i wystawione bez przeszkody na ożywczy prąd „jang". Wystarczy w tym celu wzgórze, wieża, nasyp sztuczny, muru kawałek, jak w owej cukrowni, w ostateczności drzewo od północy. Mniej uczciwy, a chciwy wróżbita porozumiewa się przytem pokryjomu z właścicielem sąsiedniego terenu i wyzyskuje swojego klijenta.

Dobry fong-szui mogiły lub domu bywa zakłócony przez wzniesienie nowego budynku, wieży komina, lub słupa telegraficznego od dobrej strony. Wypada wtedy przeszkodę, o ile można usunąć, zburzyć. Gdy cała okolica ma zakłócony feng-szui, gieomanta zazwyczaj każe w odpowiednim miejscu postawić pagodę, lub wieżę; z takiego powodu w Su-czeu wystawiono „Wieżę atramentową", która zapewnia powodzenie składającym literackie egzaminy. Po zdobyciu Szanghaju przez Czerwonych w roku 1853, gieomanta pewien wpadł na gienjalny pomysł, tłómacząc przyczynę porażki: przyczyną było postawienie pagody Koang-fu-se; zaradził więc złemu — zmieniono nazwę pagody, a posągowi zatkano oczy — dwa źródła — i pomyślny fong-szui został przywrócony.

Stąd znowu widać, że Chiny nie zmieniły odwiecznych swych pojęć, pomimo to, że nie pierwsze już pokolenie młodych chińczyków kształci się na uniwersytetach Europy i Ameryki. Wróciwszy do ojczyzny młody inteligient dąży do objęcia wysokiego stanowiska, praca nad polepszeniem bytu ziomków zwykle nie leży mu na sercu. Przytem zbyt mały jest ich procent. W ostatnich zaś czasach, cały zastęp wykształconej młodzieży zmarnował się w wojnie domowej na usługach bolszewizmu. Wśród nazwisk profesorów i uczonych badaczów w Chinach

usłyszy się czasem nazwisko chińczyka, nawet w dziedzinie tak mało „interesownej" jak, naprzykład, archeologja; wszelako, jak wielce dbają ci nowocześni chińscy uczeni o postęp wiedzy, zaświadczy zajście następujące. Przybył w tym roku w granice Państwa Środkowego słynny podróżnik Sven Heddin z zamiarem zwiedzenia północno-zachodnich kresów jego — Mongolji. Rząd północny udzielił mu żądanych pozwoleń i zapewnił swobodne przejazdy. Skoro jednak wiadomość o tem doszła do uszu pekińskiego koła uczonych, zgromadzenie to zaprotestowało. Chiny, ich zdaniem, nie są tak dzikim krajem, żeby obcy uczeni przyjeżdzali go badać; lecz skoro pozwolenie już udzielone zostało, to należy przynajmniej dodać do niego ograniczenia: nie wolno wyprawie nic wywozić z kraju, za każdy miesiąc pobytu musi płacić po trzysta dolarów amerykańskich, wreszcie ma zabrać ze sobą, na swój koszt, wojskowy oddział ochronny chiński. Podobno Sven Heddin przystał na warunki, wiedząc' że skoro dostanie się w obręb Mongolji, nie dosięgnie go władza chińska, która tam ustaje, i o dopełnieniu warunków mowy nawet nie będzie. Tak owi po europejsku wykształceni uczeni chińscy zazdrośnie bronią swych osobliwości, a sami ich nie badają.

Do szkół swoich wprowadzają chińczycy europejskie metody nauczania. Mają już całe serje podręczników nowoczesnych, do takich nawet przedmiotów jak przyrodnictwo, z ilustracjami wziętemi z Zachodu lub Japonji, choć w nich nie zawsze podają ostatnie słowo nauki (np. darwinizm po staremu), i nie w najlepszym, moralnie biorąc, gatunku. Ulepszenia naogół obliczone są dla oka — żeby gość biały miał co pochwalić; widzi się zatem dobre urządzenie klasy, przyrządy gimnastyczne, nowoczesne gry sportowe — i to nawet w szkołach niższych; widzi się młodzież gimnazjalną ze sztandarami i pieśniami ciągnącą przez ulicę; widzi się nawet harcerzy chińskich! Lecz z drugiej strony Chiny w taki sposób zaczynają zwolna tracić osobliwszą swą jaskrawą odwieczną barwę i stają się mniej ciekawe. W Charbinie, bardziej niż w innych miastach chińskich, obserwować to można. To też badacz, chciwy ciekawych spostrzeżeń, rad się przenosi dalej, wgłąb kraju, jeśli może.

Do wzmianki o religijności chińczyków dodać należy parę następujących szczegółów dodatnich. Gdy zarząd wschodniej

kolei chińskiej przeszedł po wojnie w ręce nowej komisji, bolszewiccy jej członkowie, rosjanie, postanowili usunąć z sali publicznej na dworcu obraz świętego Mikołaja, spotkali się jednak z oporem w swem gronie. A kto się oparł? Nie rosjanie biali, tylko chińczycy. „Ładny to starzec, rzekli, stał dotąd, musi pozostać i nadal". A że władza w ich zostaje ręku, przeto obraz świętego do dziś stoi w rogu sali, w małym ołtarzyku, i pobożni palą przed nim świecie, jak dawniej na dworcach rosyjskich, a policja chińska nie pozwala go uszkodzić. I to jeszcze znamienne, że gdy procesja nasza w dzień Bożego Ciała szła ulicami miasta, to policjanci towarzyszyli jej tylko na przestrzeni miasta europejskiego, gdy zaś wkroczyła w obręb dzielnicy chińskiej, policja ustąpiła. Zła przygoda mogła grozić pobożnym jedynie wśród europejczyków. Wśród ludności żółtej byli całkiem bezpieczni.

Takie to dziwy dzieją się nieraz na świecie.

Ks. dr. Robert Wierzejski.

Charbin. (Chiny).

Jak nawracać Żydów.

„Z których jest Chrystus według ciała, który jest nad wszystkiemi, Bóg błogosławiony na wieki".

List św. Pawła do Rzymian, IX. 5.

I.

Poruszona przez nas sprawa ma kapitalne znaczenie. Dziwne jest bowiem i dla rozumu ludzkiego niepojęte zjawisko, iż rasa, z której wyszedł Chrystus Pan, jak to mówi tak pięknie św. Paweł, ze wszystkich gromad ludzkich na świecie najbardziej Mu się sprzeciwia. Opór ten w dziejach Kościoła różne przybierał formy, dziś najjaskrawiej się uwydatnia w postaci masonerji i komunizmu. Każdy z nas dobrze rozumie, że gdyby żydostwo było chrześcijańskiem, współczesny ruch robotniczy miałby zgoła inny charakter. Lecz, czy nawrócenie duszy żydowskiej jest możliwe?

Wielu katolików i daleko więcej, stosunkowo biorąc, talmudystów odpowiada kategorycznie: „nie!". Według nich nega-

cja Chrystusa jest istotą duszy żydowskiej, jej niejako plamą drugorodną, niemniej trwale cechującą umysłowość żydowską, niż grzech pierworodny charakter ogólno ludzki. My wiemy, że chrzest zmazuje grzech pierworodny, ale pozostawia naturę skażoną przezeń. Otóż, gdyby Chrzest nie był w stanie wymyć z duszy żydowskiej jej odrazy od Chrystusa, rzecz prosta, o nawracaniu żydów mowyby nie mogło być.

Zapatrywanie powyższe czerpie swą siłę 1⁰ z wiekowego oporu żydostwa przeciwko wpływom Kościoła, mimo pobytu pośród narodów chrześcijańskich; 2⁰ z ustawicznego przezeń popierania wszelkich ruchów antychrześcijańskich od współczesnego naukowego racjonalizmu biblijnego aż do zohydzenia kleru kato lickiego na całym świecie, przy sposobności i tępienia go per fas et nefas jak np. w Rosji; 3⁰ ze znanej skłonności żydowskiej do symulowanych (po polsku udawanych), nawróceń dla interesu; klasyczny pod tym względem przykład przedstawiają t. zw. marrani w Portugalji: byli to żydzi, którzy przyjęli przed paru wiekami chrzest, aby uniknąć wypędzenia z kraju, lecz którzy z pokolenia w pokolenie przekazywali sobie potajemnie naukę Talmudu, a gdy w XIX w. została ogłoszona tolerancja religijna w Portugalji, „marrani"najspokojniej w świecie ogłosili się żydami. My w Polsce też znamy moc owych pseudo nawróceńców żydowskich dla interesu, więc uprzedzenie do wyrzutów ma swoje uzasadnienie.

Lecz stąd do wywnioskowania o absolutnej „nienawracalności“ żydów, daleko, bardzo daleko. Wprawdzie Krew Chrystusa Pana spadła na duszę żydowską, jako przekleństwo i zaciemniła jej umysłowość: Stąd zaślepienie żydowskie w stosunku do swego własnego dziejowego przeznaczenia, stąd zakamieniały opór żydostwa względem Chrystusa, „póki pełnia narodów nie wejdzie do Kościoła“, (św. Paweł list do Rzymian XI, 25.) Przyjdzie chwila więc, kiedy Bóg w swem nieskończonem miłosierdziu zdejmie bielmo z oczu tej nieszczęsnej rasy, która ongi była Jego ludem wybranym, a teraz jest utrapieniem narodów, kiedy zmaże z siebie plamę bogobójstwa i padnie do skrwawionych Stóp Zbawiciela, który sam o sobie mówił, iż został wysłany jeno do owieczek, które się zbłąkały z rodu Izraela (Ew. św. Mateusza XV, 24).

A ta błogosławiona chwila powrotu żydostwa do swego Mesjasza nie jest nam znana i nic nam nie wskazuje, iż się zbliża. Przeciwnie, nigdy, za wyjątkiem być może okresu pierwszego chrystjanizmu, gdy akcja żydowska przeciwko Kościołowi nie doszła do takich rozmiarów i takiego demoralizującego skutku, jak za naszych czasów. Stąd dla nas, kapłanów katolickich, smutna, lecz nieunikniona konieczność zwalczania wpływów żydowskich, żeby ochronić dusze chrześcijańskie przed wiecznem potępieniem.

Ale to bynajmniej nie oznacza, iż wszystkie dusze żydowskie żywią podobną odrazę do chrystyjanizmu, że zwłaszcza wszystkie chcą pozostać w tym stanie. Ile jest dusz żydowskich, szamoczących się w szponach jakiegoś niezrozumiałego dla nich przekleństwa dziejowego, ile jest zazdroszczących chrześćjanom ich nieżydowskiego pochodzenia, ile kończących nawet samobójstwem, bo nie mogą znieść swego dwuznacznego położenia, a nie mają żadnej wyciągniętej deski ratunku znikąd! Są to często dusze„Chrystusowe“ w Izraelu, one winny znaleźć w nas, kapłanach katolickich, swych naturalnych obrońców. Ostatecznie byłoby dziwnem, żeby z rasy, która dała Jezusa i Marję światu, nigdy nie wyszli ich szczerzy czciciele. Jak mi pisał pewien świątobliwy Biskup, Serce Jezusa porusza się do głębi, gdy widzi, iż któryś z Jego ludu doń dobrowolnie wraca. Bo On się nie chce zaprzeć łączności krwi z Izraelem, a to właśnie żydostwo zapiera się Go ku swemu dziejowemu przekleństwu. Stąd wynika, iż nietylko zwalczanie akcji dechrystjanizującej żydostwa, ale również i nawracanie lepszych żywiołów żydowskich do Chrystusa Pana jest rzeczą Bogu miłą a przez to zbawienne dla dusz.

Trzy pytania nasuwają się w związku z tą sprawą: 1° jak te dusze znajdywać 2° jak je przyciągać do naszej wiary 3° jak uregulować ich stosunek ideowy i narodowy do polskości i żydostwa.

O tem pomówimy w 3 kolejnych rozdziałach.

X. Juljan Unszlicht.

Wspomnienia z Poznania.

Znałam dawniej stolicę Wielkopolski z przejazdów zagranicę; teraz spędziłam w niej 6 tygodni w sprawach służbowych.

Jechałam koleją z Siedlec do Warszawy, gdzie po przyjeździe ze Wschodniego dworca na Główny wpadłam w ostatniej chwili do kurjera, a bilet miałam na pociąg osobowy, ponieważ mi chodziło o to, by do obcego miasta nie przyjeżdżać o północy! Gdy się to jednak stało, kazałam nieść rzeczy do najbliższego hotelu w którym wszystkie numery były zajęte, więc pozwoliłam numerowemu nieść rzeczy. Zaniósł je do „Gościny Dworcowej"! Ta się okazała przemiłą instytucją: przełożona, osoba w średnim wieku o ujmującej powierzchowności i skromnym stroju sama mi zaproponowała, wobec tego, że zadaniem owego Towarzystwa Ochrony Kobiet jest ułatwiać samotnym kobietom ze wszystkich sfer krótki pobyt w Poznaniu, iż mogę korzystać z „Gościny" za przystępną cenę, mieć codzień poza sprawą fizyczną także ucztę duchową w kapliczce Matki Boskiej Dobrej Rady, patronki zakładu. Byłam pod prawdziwie macierzyńską opieką osób inteligentnych i rozumnie pobożnych. Ani śladu bigoterji (są to podobno zakonnice); sposób bycia wykwintnie salonowy, pełen taktu i delikatności.

W sprawach służbowych w Collegium maius miałam najpierw do czynienia z profesorem Uniwersytetu, prezesem Komisji Egzaminacyjnej. Co za wytworna uprzejmość bez przesady, jakie kulturalne załatwianie kwestji wielkiej wagi, jakie odczucie interlokutora: z gazet się potem dowiedziałam, że korespondował z nim Ojciec Święty, co mnie nie zdziwiło, tyle widziałam powagi połączonej z dobrocią serca. Potem musiałam konferować z profesorem gimnastyki; młody jeszcze, nie miał jednak tych nieznośnych cech dzisiejszych koryfeuszów wiedzy innych miast polskich, którym się zdaje, że wszystko dawne nic nie warte, że grunt, by zaimponować, choć pustki w umyśle i duszy. Abyśmy mieli na wyższych stanowiskach ludzi rzetelnej wiedzy i uduchowienia! Cześć i wdzięczność takim mężom i niewiastom nauki w pracy społecznej!

F. K.

Kto się modlił już do słonka...

Kto się modlił już do słonka,
tego w życiu rzadziej zwodzi
błędny ognik, co się błąka
po moczarach, — gdy brak słonka.
Świat—to kwietna grząska łąka,
człek po trzęsawiskach chodzi:
lecz kto modli się do słonka,
tego ognik rzadko zwodzi.

Jan Tarwid.

ŻYCIE KATOLICKIE.

Papież Pius X. a Polacy.

(W ćwierćwiecze wstąpienia na tron papieski).

Dzieje Stolicy Apostolskiej—to dzieje Opatrzności Boskiej nad Kościołem katolickim. To przyznać musi każdy, kto tylko bodaj pobieżnie przestudjuje historję Winnicy Pańskiej. Bóg czuwa nad owczarnią Syna Swego zawsze, a najważniejszym dowodem tego jest fakt, że na tronie papieskim taki zawsze zasiadał papież, jakiego właśnie potrzebowała dana epoka. Nie sięgając daleko, stwierdzić trzeba, iż na schyłku wieku dziewiętnastego, w dobie wielkich przemian społecznych koniecznie trzeba było Namiesnika Chrystusowego, któryby nakreślił program demokracji chrześcijańskiej, a po nim znów sytuacja wymagała papieża, coby te wzniosłe zasady wprowadził w czyn, coby słowom nadał ciało rzeczywistości, co też stało się istotnie. Pierwszym był Ojciec św. Leon XIII, drugim zaś Pius X.

Ten ostatni Najwyższy Pasterz, pochodzący z ludu i będący kandydatem do beatyfikacji, wstąpił na Stolicę Piotrową dnia 9 sierpnia 1903 r. Zaledwie tylko tjara spoczęła na jego skroniach, natychmiast, jak powiada ks. Antoni Szlagowski, „ruszyły się ku niemu narody. W pierwszym zaraz rzędzie poszły te najnieszczęśliwsze na ziemi, które same upomnieć się o sie-

bie nie mogą, bo dawno już przestano od nich przyjmować skargi po trybunałach wszechświatowej polityki. Tam i Polak docisnął się do kolan Ojcowych; tam wolno i jemu wszystkie swe dziejowe krzywdy wypowiedzieć i wszystkie swe odwieczne bóle wypłakać. Tam znajdzie on zawsze Ojcowskie przyjęcie, Ojcowskie serce, słowa i ukojenie"[1])

Pierwsza polska pielgrzymka przybyła do Papieża Piusa X w 1904 r. z Galicji. Skład jej nie był dość liczny, udział w niej bowiem wzięło jeno ośmiu biskupów, Stanisław hr. Badeni, marszałek galicyjski, Stanisław hr. Tarnowski i kilku posłów do sejmu krajowego. Na audjencji hr. Badeni wygłosił przedewszystkiem adres w imieniu Polaków, a na ten Namiestnik Chrystusowy odpowiedział: „Wdzięcznym nader, ukochani synowie, i miłym jest Nam ten dowód miłości, której według waszego uznania, nie można było lepiej stwierdzić, jak przybyciem do Stolicy św. z dalekich krain waszych i zaświadczeniem osobliwszej dla niej czci. Serdeczne życzenia pomyślności, które nam dziś wyrażacie, uradowały Nas wielce; a słowa, któremi jednomyślnie Namiestnika Chrystusowego witacie, życzliwem sercem przyjmujemy. Długą podróżą waszą i tą waszą do nas przemową złożyliście, ukochani synowie, piękny dowód waszej wiary i waszego do Stolicy Piotrowej przywiązania. Z tych słów, wyrzeczonych imieniem, was wszystkich, dosadnie poznać się daje i wiary waszej siła i o religję gorliwa dbałość. Najlepszym zaś znakiem waszej względem Nas i względem tej Stolicy Apostolskiej czci i miłości są nam te modlitwy, które do miłosierdzia Bożego na pomyślność Kościoła zanosić przyrzekacie; a to tem więcej, że łączycie je z pobożną czcią i rzewną miłością ku Niepokalanej Bogarodzicy. My zaiste, gdy myśl naszą bacznie ku Ojczyźnie waszej zwracamy, słodkiej doznajemy pociechy z przeświadczenia o tej synowskiej pieczołowitości, z jaką ojcowie wasi starali się okazywać w szczególny sposób cześć Matce Bożej, nazywając ją przepięknem imieniem Królowej Korony Polskiej. W tym szczególnie roku poświęconym Dziewicy, bez zmazy poczętej, niech Ona wam, o wiarę ojców walczącym, będzie pomocą i obroną, niech idących śla-

[1]) Ks. Antoni Szlagowski. Pius X-ty, jako spadkobierca myśli Leonowych. Mowa, wygłoszona w Filharmonji Warszawskiej podczas Papieskiego obchodu Jubileuszowego dnia 8-go grudnia 1908 r. Warszawa, 1908. str. 9.

dami przodków opieki swojej zabezpieczeniem otoczy. Nie jest nam też tajno, że naród polski wielu wydał z siebie mężów, którzy Ojczyznę swoją wsławili i prawdy katolickiej światłem i życia świętobliwością, a dziś oni, w chwale niebieskiej jaśnie jący, współziomków swoich dziedziców swoich cnót, łaskawem widzą okiem i przyczyną swoją wspomagają. Stąd też silną przejmujemy się nadzieją, że ten skarb wiary i chrześcijańskiej pobożności i na przyszłość także przez was, katolickim duchem ożywionych troskliwie i starannie będzie przechowany, a ze starań waszych obfity plon dla dobra wiary i Kościoła". „Teraz więc z wami razem — mówił w dalszym ciągu Najwyższy Pasterz — w tem pewniejszej umacniamy się nadziei, że przy Bożej pomocy z każdym dniem bardziej kwitnąć będzie pośród was święta wasza religja, a lud katolicki będzie w Polsce wzrastał w liczbę i w zasługę. Wiemy także dobrze, że nie brak wam przeciwności w obronie praw Kościoła i w wykonywaniu dzieł życia chrześcijańskiego. Ale jakkolwiek i cokolwiekby było, nie upadajcie na duchu, pomnąc na przeszłość; owszem tem bardziej pobudzać się wam trzeba do zbawiennej czujności i do skutecznej pracy tak, iżby ci nawet, którzy względem Kościoła złą mają wolę, waszym duchem miłości pociągnięci, prawdziwą wiarę przyjęli na drogę Boskich przykazań weszli". Kończąc swe przemówienie, Papież Pius X rzekł: „Co się Nas tyczy, synowie ukochani, to sprawy katolickiej u was strzec i bronić nigdy nie przestaniemy, a was wszystkich gorąco Bogu polecamy, aby was wszechmocną pomocą swoją podtrzymywał, a wszystkie czyny wasze kierował na dobro i pożytek religji, na duchowe wasze zdrowie i zbawienie, na całego narodu polskiego pomyślność".

W tymże samym roku t. zn. w 1904 r. dokonał Ojciec św. beatyfikacji jednego Polaka. Tym właśnie był bł. Melchjor Grodziecki, Jezuita, zamęczony w 1619 r. przez protestantów na Węgrzech.

Kiedy na posłuchaniu był u Namiestnika Chrystusowego ks. Józef Stablewski, arcybiskup lwowski, usłyszał odeń nadzwyczaj pochlebne dla Polaków słowa: „Naród polski — oświadczył wtedy papież Pius X — nigdy nie był dla Stolicy świętej krzyżem jeno pociechą, więc i na przyszłość tylko radością napełniać będzie serce papieży".

Pierwsze zetknięcie się Ojca św. z przybyszami z Polski miłe zrobiło na nim wrażenie, co widać bodajby z pierwszych już odezwań się jego o Polakach, niebawem jednakowoż zasmuciło się z powodu wypadków na ziemiach polskich tak pełne miłości serce jego. Przedewszystkiem boleść ogromną sprawiły mu zajścia w Królestwie w 1905 r, wywołane przez socjalistów w następstwie wydania przez rząd moskiewski ukazu o tolerancji, a następnie bolesnym nad wyraz był dlań fakt powstania ohydnej sekty kozłowitów, którzy podszyli się pod miano marjawitów.

W odpowiedzi na wypadki w Kongresówce Najwyższy Pasterz wystosował do Polaków z pod zaboru rosyjskiego orędzie „Poloniae populum", gdzie, wedle słów ks. Stanisława Krzeszkiewicza i „o przeszłość potrąca, wspominając dawne przywiązanie Polaków do wiary, i zasługi podnosi, około Kościoła położone, a na trudne czasy, w jakich kraj się znajduje, daje wskazówki i przestrogi"[1]). Ponieważ orędzie to zostało mylnie zrozumiane, wskutek złego streszczenia go przez biura prasowe, zanim do Królestwa Kongresowego doszedł oryginał, ks. Józef Teofil Teodorowicz, arcybiskup lwowski, uzyskał komentarz, a „tak z encykliki, — powiada również ks. Krzeszkiewicz — jak z komentarza, przebija się prawdziwie ojcowska troska o naród biedny, pragnienie gorące, by przyjść mu z pomocą, ratować go, przestrzec przed niebezpieczeństwami, jakie mu grożą ze strony zbłąkanych"[2])

W związku z ekscesami marjawickiemi ogłosił papież Pius X „List okólny do czcigodnych braci: arcybiskupa warszawskiego i biskupów płockiego i lubelskiego w Polsce". Okólnik ten ukazał się na wiosnę 1906 r., potępiał on sektę marjawitów zatwierdzając w całej rozciągłości dekret Stolicy Apostolskiej z jesieni 1904 r. „Aby... położyć tamę dalszemu uwodzeniu wiernych i tych księży t. zw. Marjawitów, którzy dotąd trwają w dobrej wierze, przez wspomnianą niewiastę i przez ks. Jana Kowalskiego, powtórnie zatwierdzamy dekret, kasujący stowarzyszenie Marjawitów, — pisał Namiestnik Chrystusowy — jako zawiązane nielegalnie i nieważnie i ogłaszamy je za zniesione

---

[1]) Ks. Stanisław Krzeszkiewicz. Ojciec św. Pius X. i następca Benedykt XV. Poznań, 1914. str. 101.

[2]) Op. cit. str. 102.

i potępione... Was..., Czcigodni Bracia, usilnie wzywamy, abyście błądzących kapłanów, skoro tylko szczerze się opamiętają, ojcowską miłością otoczyli i po należytej próbie do pełnienia napowrót pod Waszym kierunkiem czynności kapłańskich powołali. Gdyby, wzgardziwszy Waszemi wezwaniami, w krnąbrności — nie daj, Boże! — trwali, naszą będzie rzeczą surową względem nich zastosować karę. Starajcie się też wiernych, chwilowo obałamuconych i tem samem zasługujących na wyrozumienie, zwrócić na prostą drogę! Pielęgnujcie w diecezjach waszych ćwiczenia pobożności chrześcijańskiej, wielokrotnie przez Stolicę Apostolską tak dawniej, jak i w czasach najświeższych, zaaprobowane! Pielęgnujcie je tem gorliwiej i chętniej, że dzięki Bogu swobodniej obecnie u was kapłan służbę Bożą spełniać, a wierni pobożność przodków naśladować mogą".

Wszystkie odchylenia, występki, lekceważenia gromił Ojciec św. Pius X z całą surowością, gromił więc surowo i marjawityzm, wszakże całego narodu polskiego, jako takiego, nie przestawił darzyć swoją łaskawością. Takiem oto było w pierwszym rzędzie ustanowienie nowego święta, mianowicie latem 1906 r. katolicy Polscy dowiedzieli się, iż Najwyższy Pasterz „ustanowił odtąd uroczyste i tylko w Polsce obchodzić się mające Święto Matki Boskiej Częstochowskiej"[4]) oraz że „święto obchodzone będzie odtąd uroczyście w każdą pierwszą środę po św. Bartłomieju, który to święty pierwszy poznał obraz cudami słynący"[5]). Ten właśnie czyn papieża Piusa X był oprócz dowodu ukochania katolików polskich, dowodem nabożeństwa jego do Matki Boskiej Częstochowskiej, które datuje się od czynów przed wstąpieniem na tron papieski. Jak podaje ks. Ignacy Kłopotowski, „Pius X-ty zanim wstąpił na Stolicę Apostolską, znał już dobrze dzieje naszej Jasnej Góry, a kopję Cudownego Wizerunku, ofiarowaną Mu przez jakąś pobożną Polkę, miał zawieszoną w swem prywatnem oratorjum w Wenecji".[6])

---

[4]) Pamiątka z Jasnej Góry. Krótka historja o Jasnej Górze ze zbiorem pieśni, w różnych czasach napisanych na cześć i chwałę N. M. P. Częstochowskiej, przez lud polski śpiewanych. Warszawa, 1906, str. 15.

[5]) Op. cit. str. 15.

[6]) Ks. Ignacy Kłopotowski, Redaktor „Polaka-Katolika" i „Posiewu", Koronacya na Jasnej Górze w 1910. (Wydanie po odbytej Koronacji). Warszawa, 1910, str. 20.

Widząc zmaganie się działaczy polskich z wrogim żywiołem najeźdźców, zachęcał ich świętobliwy Ojciec św. do wytrwałości. W 1906 r. list z takiemi słowami zachęty przesłał papież Pius X do ks. Stablewskiego, arcybiskupa poznańsko-gnieźnieńskiego. Tam właśnie Najwyższy Kapłan pocieszał arcybiskupa polskiego: „Nie wątpimy, że w sprawowaniu urzędu Twego biskupiego trudności wielu doznajesz. Nie ustawaj jednak w gorliwości, pomny zawsze na to, czem się pocieszał Apostoł: „Wszystko mogę w tym, który mię umacnia". Pociechą dla Ciebie niech będzie również i miłość, którą dla ciebie żywi Namiestnik Chrystusowy".

Pamiętał Ojciec św. o polskich książętach Kościoła, nie zapominał jednakże również o prostaczkach oraz o innych wiernych. Przykładem tego jest fakt, iż „sam osobiście raczył rozdawać Komunję św. naszym pielgrzymom, co wobec mnóstwa zajęć Ojca Chrześcijaństwa trzeba uważać za ogromny dowód miłości" [7]).

Osobliwie miłował Namiestnik Zbawcy unitów podlaskich. Skoro... [np.] doszła... [doń] wiadomość o śmierci pielgrzyma-unity, starca Błyskosza (dziadka b. posła z ziemi podlaskiej), rzekł: — „Jutro za jego duszę odprawię Mszę świętą" [8]), a wogóle „z rozrzewnieniem wspomina Unitów, którzy tyle wycierpieli za trwałe przywiązanie do Kościoła". [9]) W 1906 r. znowu dla zadokumentowania tego polecił ks. arcybiskupowi Albinowi Symonowi oznajmić, że udziela wszystkim unitom swego specjalnego błogosławieństwa w uznaniu za ich bohaterskie trwanie przy wierze św.

(Dokończenie nastąpi).

Józef Marjan Chudek.

Opera Cardinal Ferrari.

Zmarły w opinji świętobliwości Kardynał Ferrari, arcybiskup medjolański, jest ideowym ojcem nowego zrzeszenia zakonnego, którego wielki rozrost i niezwykłe metody bardzo nowoczesnego w swej formie powrotu do dawnych, starochrześcijańskich spo-

[7]) Nasz Ojciec święty, Pius X. Lublin, 1906. str. 38.
[8]) Op. cit. str. 38.
[9]) Op. cit. str. 38.

sobów apostolatu, zwraca powszechnie uwagę. Komandor Remo Renato Petitto z Rzymu nadsyła nam o Opera Cardinal Ferrari— tak się zowie ogół dzieł przedsiębranych przez nowe zrzeszenie, noszące nazwę św. Pawła,—poniższą korespondencję.

Zaczęto lat temu pięć. Kilkoro młodych ludzi, kilka panienek, trzech kapłanów, Giovanni Rossi, który jest dzisiaj przywódcą związku i jego budzicielem, Giovanni Penco i Paolo Ratti.

Byli oni raczej paleni wewnętrznym ogniem duchowych aspiracyj, niż kierowani zrazu jasno sformułowanym programem. Ich życzeniem było sprowadzić napowrót na opak idące rzesze do dóbr prawdziwych, któremi pogardzały. A dobra te, to ołtarz Pański, sztandar ojczyzny i świętość i nietykalność domowego ogniska.

Lecz zachodziło pytanie, gdzie lud ten uchwycić? Wszędzie, gdzie znajdowali się opuszczeni, okaleczali, chorzy na ciele i na duchu ranni. Wszędzie na marginesach ubitych dróg, że tak powiem. A ludzi takich były i są rzesze.

A więc wzięto się do dzieła z błogosławieństwem i przewodnią radą tego, który wszystko tym zbolałym rzeszom wydziedziczonych poświęcił: świętej i błogiej pamięci Kardynała Ferrari, arcybiskupa Medjolanu. Powstały szkoły, laboratorja, księgarnie, czytelnie, bibljoteki, pensjonaty, sekretarjaty społeczne, biura informacyjne i urzędy społecznego ratownictwa. szatnie dla ubogich, biura mieszkaniowe, asekuracyjne dla tych, co kąta własnego nie mieli i dla wychodźców, dalej, ambulatorja, restauracje tanie, łaźnie i t. d. I ten potężny i harmonijnie zespolony organizm dzieł i przedsięwzięć rozlicznych przyjął za godło imię tego, który stał się dlań ojcem, który wciąż jeszcze pozostawał z nimi, jak anioł dobrej rady, natchnienia i obronnej pomocy. Nazwano więc to wszystko „Opera Cardinal Ferrari" –Dzieło lub dzieła Kardynała Ferrari.

Gorączka i życie pulsowało wokół gromadki, w sercach jej członków zaś pokój wewnętrzny.

Zespół tych młodych, z których zjednoczenia wychodziło powyższe towarzystwo św. Pawła, dał całą pełnię poświęcenia i energji, wszystko, czem był, co miał i co mógł. To był zakładowy kapitał. Poczem zeczęto urządzać loterje, subskrybcje, zabrano się do kwestowania wszystkich i każdego, banki, instytucje, dobrych ludzi codziennego życia i dzieło zaczęło żyć istnieć i działać. Po pięciu latach wydaje się ono dziś już być

niebosiężnym olbrzymem, nie tyle z powodu tego, co zdziałało, ile tego, co zdziałać może. Otwiera niezmierzone perspektywy.

Oto zasada: kwestja społeczna będzie mogła być wyprowadzona na lepsze tory, lecz oczywiście, nie ma ona rozwiązania ostatecznego. Zawsze będą ubodzy i bogaci, chorzy i zdrowi, desperaci i zadowoleni z życia, źli i dobrzy, dzieci i starzy, święci i grzesznicy. I co my wobec tego zrobimy? Rzucimy się w odmęt świata, by wszystko i wszystkich pocieszać, wszędzie nieść pomoc. A jak? Tak, jak robił to Jezus, dziełami miłosierdzia, czy to doczesnego czy duchowego. Krzyż, sztandar i orkiestra, to centrum, z którego idą i promieniują dzieła.

Działalność. W dziele (centrum) medjolańskiem ruch codzienny wynosi ponad 5.000 osób. Są tam szkoły wszelkiego typu: zawodowe, handlowe, bankowe, średnie, normalne (seminarja nauczycielskie), gimnazja, szkoły dopełniające, uczelnie pisania na maszynie, stenografji, języków. Więcej niż 3 tysiące uczniów do nich uczęszcza.

W tym roku rozpoczęto prowadzić 2 inne rodzaje szkół: szkołę dla urzędników bankowych i szkołę dla panien, które się gotują do zawarcia związków małżeńskich i założenia rodziny. Ta ostatnia szczególną cieszy się sympatją. Jest to perła całego dzieła, będzie się uważać za wielce uprzywilejowaną, jeśli wyda chrześcijańskie małżonki i matki.

W pensjonatach znalazło schronienie przeszło 200 młodych ludzi, w Kollegjum dla panien znajduje się sto młodych osób. W pobliżu uniwersytetu otwarto dom uniwersytecki z restauracją, mieszkaniami i pracowniami.

Wielce ciekawe są biura pomocy społecznej, które wzięły sobie za zadanie opiekę nad dzieckiem, robotnikiem, przed i po pracy, nad wyzwoleńcami z więzień, nad odepchniętemi i zapomnianemi przez społeczeństwo. Biura te rozporządzają siecią wszelkich możliwych „opatrunków społecznych" odpowiednich dla tych, co najbardziej ich potrzebują.

Zdobyto wstęp do kilku największych przedsiębiorstw medjolańskich i zaprowadzono w nich szkoły pracy, tanie jadłodajnie, to wszystko zainstalowane blisko życia i serca zacnych mas proletarjackich.

Z pomocą magistratu otwarto dziesięć domów Dziecka, aby zebrać w nich dzieci, które po wyjściu ze szkoły wałęsają się

po ulicach i prowadzić je do czystych ideałów życia. Jadłodajnie zawsze pełne są gości, równie dobrze w południe jak i wieczorem.

Ambulatorjum otacza opieką 4.000 chorych miesięcznie, 9 lekarzy opatruje chorych z dobrocią i uzdolnieniem.

Kolonje górskie i morskie, Villa del Pino, stawały się latem pięknemi miejscami wypoczynku.

Drukarnia pracuje bez przestanku.

Dom wydawniczy wydaje bardzo cenione w całych Włoszech wydawnictwa: „Święto", tygodnik ilustrowany dla rodzin, „Mały Kurjer" tygodnik ilustrowany dla dzieci, „Świt" dla dziewcząt i panien, „Carroccio" dla młodzieży, „Krzyż" dla robotników, a oprócz tego perjodyczne przeglądy religijne.

W Medjolanie dzieło prowadzi już 4 prawdziwe pałace i są już widoki na piąty. W Niguarda, w historycznej Villa Clerici, zgromadza się wszystkich wyrzutków społeczeństwa, których podda się wysiłkowi regeneracji moralnej.

Wszystkie te poczynania są w pełnym rozkwicie, gdyż jak tylko jaka inicjatywa nie wydaje się zdolną do życia, w tej chwili się ją porzuca.

Ojciec Święty lubi to dzieło, daje mu swe rady i swe błogosławieństwa. Cywilne władze otaczają je szacunkiem, a wokół Medjolanu sekretarjaty dzieła prowadzą na prowincji rozpoczęty na miejscu trud. Trud ten, ta praca, to istny poemat, prawdziwy śpiew i dzień każdy przynosi nam nową jego strofkę.

Rozwój terytorjalny. Jednocześnie z poczynaniami medjolańskiemi, dzieło rozprzestrzenia się jeszcze doskonale w Paryżu, rue Blanche, gdzie zakupiono piękny pałacyk, który jeszcze się rozbudowuje. Znajduje tam miejsce ambulatorjum, biura prawnicze, biura pracy, sekretarjat ludowy, sale dla zebrań kulturalno-oświatowych, a wszystko to stanowi prawdziwe błogosławieństwo dla paryskiej kolonji włoskiej. Przejezdni mogą tam znaleźć doskonałe miejsce taniego i wygodnego zamieszkania. W podmiejskich ośrodkach Paryża, w Pautin, w Vitry Chatillon, i w główniejszych miejscowościach, gdzie są robotnicy włoscy, dzieło się już usadowiło ze swemi opiekuńczemi poczynaniami.

W Jerozolimie już prawie ukończono budowę wielkiego gmachu, gdzie znajdują miejsca szkoły i hospicja. W tymczasowym lokalu dzieła, ponad 200 uczni wszystkich wyznań roz-

poczęło już swe studja. W mieście świętem zaznano najserdeczniejszego przyjęcia tak ze strony katolików, jak arabów i żydów.

W Wenecji otrzymano w darze wspaniały pałac Morosini, a wszyscy przyrzekli wspomagać dzieło w jego poczynaniach.

W Rzymie na Via Germanico, niedaleko Watykanu, znajduje się centralny dom dzieła, z pensjonatem, mieszkaniami, wszystkiemi wydziałami biur opieki społecznej i szkoły wychowania społecznego dla kobiet. Drukarnia nowocześnie urządzona znajduje się w pełnym biegu. Za ostatnie 6 miesięcy wypuściła ona sześć miljonów stronnic.

Co rano, na Via Germanico, rozchodzą się młodzi ludzie i panienki, by iść do Fierratelle, do św. Jana na Lateranie, do św. Benedykta, na Monte di Gallo, na Colle Vaticano, gdzie znajdują się ludzie bezdomni.

Dom Rzymski nosi miano „Casa Pio XI". Dzieło obsługuje również parafję św. Benedykta na Via Ostiense, w bliskości grobów męczenników starochrześcijańskich. Częstokroć odwiedza się włoskich emigrantów w zagłębiach węglowych Belgji i Francji, i daje się od czasu do czasu misje w tych stronach Włoch, gdzie nie udało się dotąd założyć domów.

A z jakich to wszystko dzieje się pieniędy? Otóż całkiem bez pieniędzy, bez grosza nawet. Posiada się dziś wielkie pałace, wprawdzie bez żadnych środków, by je utrzymać, lecz w statutach dzieła stoi napisane, że nigdy nie ma się uważać na kłopoty pieniężne, w ten sposób nikt sobie zgóry trosk nie kładzie na głowę.

Patrząc w przyszłość. W rzymskich, medjolańskich, jerozolimskich i paryskich domach zachodzą nieraz cudzoziemscy biskupi i mówią za każdym razem: chodźcie też i do nas. Jakżeby dzieło było szczęśliwe, żeby mogło zawojować świat cały, aby każdemu czynić dobrze. Lecz „Paolini" nie są jeszcze dość liczni, a to co się już uzyskało, to nie wobec tego, czego się pragnie. „Paolini" nic nie posiadają; tajemnica ich powodzenia leży w ich sercu ofiarnem i gorącem. Nie są niczem innem, jak tylko robotnikami Pana Boga.

Dziela się na 3 kategorje: kapłani, mężczyźni i kobiety. Wszyscy pracują razem, wszystkie trzy kategorje składają śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Praca ich jest radosną.

(tłumaczył z franc. T. R.) *Remo Renato Petitto*

P. S. Dodać należy, że to dom „Paolinów" w Rzymie drukuje połurzędowy organ Watykanu „Osservatore Romano". Już w 1927 r. jeneralny przełożony Paolinów, Don Giovani Rossi pozwolił przełożyć Reguły zgromadzenia na język polski. Część ich została już przetłómaczona przez obecnego tłomacza.

Podobną działalność w Polsce chcą rozwinąć XX Charyści.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Nowe studjum prawno-etyczne Ks. Dr. Stanisława Mystkowskiego — Idea prawa naturalnego w starożytności i u scholastyków zawiera przegląd na rozwój tego zagadnienia w tych czasach.

Teza istnienia prawa moralnego, niezbyt jeszcze jasno sformułowana przez myślicieli starożytnych do Platona włącznie, została wyraźnie postawiona przez Arystotelesa.

Im dalej posuwamy się w czasy chrześcijańskie, tem wyraźniej zarysowuje się u filozofów, jak św. Augustyn, jasny pogląd na prawo naturalne, osiągając wreszcie u wodza scholastyków, św. Tomasza, swój rozkwit zupełny. Doktór Anielski głęboko uzasadnione określenie prawa naturalnego, jako „uczestnictwa istoty rozumnej w prawie wiekuistem" gruntuje dwie podstawowe jego cechy—powszechność i niewzruszoność.

Zdawaćby się mogło, że wartość dzieła ks. dr. Mystkowskiego jest wyłącznie historyczna; nie jest tak jednak.—Jest ono ogromnie aktualnem; ogromnie dzisiejszem, jest dlatego przedewszystkiem, że wskazuje, powiedziałbym „rozumowo",—gdzie mamy szukać prawdy o prawie naturalnem które dziś, tak różnie zrozumiane, tak różne „etyki" wytwarza. Drogowskazem musi być dla nas filozofja tomistyczna, ta głęboka filozofja, która nigdy swej żywotności nie straci Bo w dziedzinie etyki naprawdę ludzkość od czasów Doktora Anielskiego, nie posunęła się wcale.

Marjan Jan.

Książka, zatytułowana Les Evêques français en Pologne.—Paris VIe 1925 Les Amitiés catholiques françaises, str. 109, cena 5 fr., jest kroniką podróży Biskupów francuskich po Polsce 1924 r., spisaną przez rektora Instytutu Katolickiego w Paryżu Mgr. Alfreda Baudrillardt'a.

Podróż ta pozwoliła wodzom duchowym narodu francuskiego, poznać katolicki charakter naszego kraju, zobaczyć, że obok wspólnych interesów politycznych oba kraje łączy i utwierdza w przyjaźni jeszcze i wspólnota wiary i religji, która tak głęboko tkwi w obu narodach.

R. P. Félix Anizan. O. P. F: Précis de Vérités Premières sur la Rayonnoment du Sacré-Coeur dans la Penseé humaine. Paris II. Edit. du „Rayonnement Intellectuel du Sacré Coeur"—str. 94.

W broszurze swej podaje autor charakterystykę cech Najśw. Serca Jezusowego, jego okazania się, które jest przypomieniem tego, co Chrystus dla nas zrobił, jego ścisłą łączność ze starym i nowym Zakonem, porusza dalej kwestję objawień ludzkich" (révélations privées), wreszcie podaje sposoby ustosunkowania się ludzi do sprawy i rozwija krótki program rozkrzewiania Boskiego Dzieła. M. J.

Kiedy się słyszy o propagandzie misyj zagranicznych w Polsce, mimowoli na myśl przychodzi, że przecież tyle jest pracy w kraju, tyle nam samym potrzeba pracowników i pieniędzy, że chyba zwolnieni jesteśmy od obowiązku wychodzenia na zewnątrz. Pogląd taki jest mylny. Wznieść na wyżyny Katolicyzmu, choćby już tylko najbliższych naszych wschodnich sąsiadów jest naszym obowiązkiem chrześcijańskim, ale i narodowym. Rozpowszechnienie zachodniej kultury, która przenika przedewszystkiem za pomocą katolicyzmu na Wschodzie, jest gwarancją pomyślnego rozwoju naszego państwa.

To też w miarę możności należy nam dopomagać misjom swemi środkami i pracą, ale najprzód przedewszyskiem zapoznać się dokładnie z tą sprawą.

Do tego posłuży nam jako „podręcznik" broszura „Świeckie związki misyjne" (Warszawa 1928. Nakładem Zw. Mis. Kleru Arch. Warszawskiej str. 101 cena 1.50) napisana przez X. Alfonsa Trepkowskiego.

Zawsze pamiętać trzeba o tej prawdzie, że by walczyć skutecznie, należy poznać wroga. Dziś stało się to krzycząco aktualnem, dziś bardziej niż kiedykolwiek, gdy przed nami stanął już wróg, w środki zasobny, gotów do walki o wymazanie z życia naszych najświętszych ideałów. Pod hasłem „poznaj wroga" wydał Dr. Mieczysław Skrudlik swe „Zamachy na Kościół Katolicki w Polsce". (Warszawa 1928 str. 148) Znajdziemy tu dokładne i krytyczne omówienie wszystkich czynników, które przeciw Kościołowi w ten czy inny swosób do walki stają a więc: sprawy Huszny, Kościoła Hodura, cerkwi prawosławnej w Polsce, a także stosunku do tych palących spraw prasy, uważanej powszechnie za pół lub nawet całkowicie oficjalną. Wartość książki i pożytek jej powiększa fakt, że to co w niej znajdujemy mało jest ogółowi znane. M. J.

W ośmiu rozdziałach swej książki „Le Beau", Louis de Blois zastanawia się nad tem jak uzyskać zbawienną łączność duszy z Bogiem. Podstawą do uzyskania tej łączności jest odniesienie wszystkich objawów wewnętrznego i materjalnego życia, podporządkowanie ich celom wyższym przez pamięć na Mękę Bożą, Jego wolę, a także na własną niegodność, „Le Guide spirituel ou le miroir des âmes religieuses" (tłum. z łaciny przez M l'Abbé F. de Lamennais, Paris VI-e 1927 Pierre Téqui, str. 164, cena fr. 3.50) może być lekturą bardzo przydatną dla tych, którzy z wyżyn duchowych dążą na szczyty przez rozmyślanie i ascezę; duch ten bowiem panuje w książce niepodzielnie.

Zdrowe, krótkie myśli znajdujemy przy końcu książki wśród „wyżyn duchowych" (des maximes spirituelles) św. Jana od Krzyża. M. J.

Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński. (współpr. Ks. dr. Jan Korzonkiewicz, Ks. Zygmunt Pilch. Ks. Ign Posadzy) R o c z n i k i K a t o l i c k i e na Rok Pański 1928 VI. (z 34 ilustracjami) Poznań 1928. Nakładem autora, str. XXXV+699.

Roczniki tegoroczne opracowane są według wzoru z lat poprzednich. Zawierają więc omówienie stosunków religijno-społecznych w głównych państwach Ameryki, Europy i Azji. Prócz tego znajdujemy tu trzy obszerne działy o ruchu katolickim (kongresy międzynarodowe), o masonerji i rotaryzmie, wreszcie o misjach katolickich. Dzieło kończą dodatki—aktualności życia katolickiego zagranicą i u nas.

Jeśli idzie o poszczególne rozdziały roczników, to na pierwszy plan wysuwają się wśród nich, wyraziście, a bez jątrzenia skreślone dzieje męczeńskiego Meksyku, tak żywo każdego obchodzące, a także, potraktowana szerzej, już choćby ze względu na polską emigrację, historja ostatnich lat Kanady, St. Zjednoczonych i Brazylji.

Stosunki religijno-społeczne w Polsce znalazły sobie wśród kart Roczników należne miejsce i przyniosą bezprzecznie czytelnikowi możność zorjentowania się wśród naszych, zawiłych nieco sprawach wyznaniowych.

Prawdziwie po kronikarsku skreślił autor dzieje naszego południowego przyjaciela—Rumunji, tu odegrała rolę podróż jego po tym kraju. Nowością w rocznikach jest o Portugalji; dowód to, że coraz wszechstronniej obejmują one życie Katolickie.

Za bardzo udane uważać należy dość obszerną historję życia i dzieł wielkich ludzi. Wymaga tego kronika, jako lata — prawda to, a przytem nic tak wyraziście nie mówi o duchu narodu, jak właśnie postacie jego synów.

Całość Roczników przedstawia się imponująco tak pod względem objętości, jak i treści. Wiadomości źródłowe, a co najważniejsze tworzą ciągłe, nieprzerwane opowiadanie, dając możność wytworzenia ogólnego poglądu na stan wewnętrzny państw. To też życzyć nam trzeba, by dzieło to poznał każdy katolik, który znajdzie tu, obok innych korzyści i sprostowanie wielu błędnych, nieświadomie, czy też tendencyjnie, przez pisma podawanych wiadomości.

Szanownemu zaś autorowi musimy złożyć serdeczne podziękowanie, bo praca jego naprawdę odpowiada potrzebie kulturalnej naszego narodu, i jest prawdziwym pomnikiem myśli polskiej, która coraz szerzej ogarnia horyzonty. **Marjan Jan.**

Niczego nam dziś tak nie potrzeba jak zdrowej belletrystyki. To też z radością witamy każdą nową książkę katolicką, która odpowiada temu celowi

Nowela **Ks. N. L. Cieszyńskiego** zatytułowana W ś r ó d p i e ś n i i k a d z i d e ł (garść impresyj religijnych) Poznań 1928.—Nakładem autora str. 78, aczkolwiek nie dają tak dziś poszukiwanej silnej emocji, mogą jednak do pewnego stopnia cel spełnić, dając pewne zwrócenie myśli na sprawy wyższe, które niedaleko, właśnie wokoło nas mają miejsce, są wydarzeniami codziennego niemal życia.

Le Bolchevisme russe et la jeunesse intellectuelle chinoise (Les Elites en pays de Missions) Louvain Semaine de Missiologie str. 15.

Dom Edouad Neut. O. S. B.

Króciutki rys historyczny stosunków wewnętrznych w Chinach, który nam autor daje, pozwala zorjentować się, że odrodzenie Chin jest już potrzebą i że musi ono i to w krótkim czasie przybrać formy realne.

Treścią broszurki staje się omówienie wpływów bolszewickich w Chinach, wpływów, wywieranych przedewszystkiem na młodzież (szkoła dla młodych Chińczyków w Moskwie), związanych tak ściśle z przewrotami w tym kraju. Jak wszędzie tak i tu Kościół Katolicki przeciwstawia się swoją Prawdą, doktrynie komunistycznej i rozwija działalność misyjną na terenie największego państwa Dalekiego Wschodu. M. J.

Salinis SJ. Marins et Missionnaires. Conquête de la Nouvelle — Calédonie, 1843 — 1853. Dzieło nagrodzone przez Akademję Francuską. 11 wyd. Paris VI Téqui 82 rue Bonaparte 1927 — Książka niniejsza jest znaną, bo ukazuje się już w 11 wydaniu, Francuzi czytują chętnie tego rodzaju lekturę. Uznają bowiem wartość pracy misjonarzy dla własnego Kraju. Rozglądając się po literaturze misyjnej francuskiej, widzimy, że Akademja Francuska stosunkowo bardzo często odznacza dzieła misyjne, napisane przez swych ziomków. Kiedyż to u nas Rząd i sfery naukowe skierują swą opiekuńczą, pożyteczną dla sprawy uwagę na ten ważny czyn ducha polskiego—misjonarstwo? Kiedyż to i u nas, jak to się dzieje już gdzieindziej, studenci obiorą sobie temat misyj na swe prace naukowe? Kiedyż i u nas powstanie katedra misjologji i nauk dlań pomocniczych, wykorzystując istniejące już u nas siły fachowe zwłaszcza dla spraw połączenia schyzmatyków z Kościołem. dla artykułów o sprawie misyj w poważnych dziennikach i perjodykach katolickich kraju i w naukowych środowiskach uniwersytetów? Przecież mamy już własne tereny misyjne w Rodezji, w Syberji (gdzie jest 3% pogan) i w Japonji!—Takie to myśli „stosowane" nasuwa nieraz widok pracy misyjnej innych krajów! Wracając do znanego dzieła O Salinis, przekonujemy się, że powtarza się w dalekich zakątkach świata to, co było u nas przed lat tysiącem. Przychodzą obce państwa i podbijają sobie tubylczy naród, zatykając sztandar swego kraju na znak zdobycia. Pod opieką państwa wkraczają misjonarze. Zazwyczaj jedni drugim pomagają, gdyż wzajemnie się potrzebują. Nie wszędzie tak bywa, ale taką jest kolej rzeczy w Nowej Kaledonji, na wyspach Oceańskich, położonych między Australją, a Połudn. Ameryką. Misjonarzami są Maryści, zgromadzenie założone przez W O. Colin. Zjazd Misyjny w Poznaniu 1926 gościł m. in. także takiego Czcigodnego Misjonarza Marystę z Oceanji w osobie Ks. bp. Darnaud. Maryści mają zamiar sprowadzić się do Polski, by tu zyskać powołania dla tych najbardziej „dzikich" misyj świata — Oceanji. W czasach, na które przypadają dzieje opisane w książce O. Salinis, dzicy krajowcy bronili się przed zaborem politycznym Francji ogniem i dzidami. Od walk tych cierpieli oczywiście także misjonarze. Nieraz i ich skromne siedziby szły z dymem, a apostołowie padali od ciosów zapalczywie i podstępnie broniących się szczepów krajowców.

W naszym wieku samodzielności państw politycznych rzeczy te wydają nam się niedopuszczalnemi. Osobiście, śledząc ruch nacjonalistyczny ras ludzkich poza europejskich, jaki się teraz odbywa po całej ziemi, nie chcielibyśmy pozwolić sobie na sąd o takim rozwoju spraw w społeczeństwach ludzkich. Studjujemy je i badamy. Przekonujemy się tylko, jak trudno dostać się ludom niecywilizowanym do Boga, do Prawdy Odwiecznej! Ile przeskód drugorzędnych z zewnątrz i bardzo silnych w własnej duszy, by poskromić zwyczaje barbarzyńskie (w Oceanji zachodzi jeszcze kanibalizm) i zaniechać zobobonów i poniżania godności ludzkiej. (Rola kobiety, dzieci, chorych, starców,) Jeszcze jedno zastanawia nas w lekturze misyjnej francuskiej, t. j. podkreślanie bardzo wyraźne **polityki państwa** wobec misyj Katolickich. Co za ciosy, zarzuty spadłyby na Polskę, gdybyśmy chcieli wyławiać pyłem niepamięci ukryte w obcych zgromadzeniach dzieje nieznanych światu polskich misjonarzy z czasów zaborów! A jednak wystarczyłaby dla chwały polskiego imienia sama szczera prawda!..

Czujemy przytem dobrze, jako Katolicy, ideowcy że z chwilą nastawienia naszej pracy misyjnej na fale znaczenia ich dla polityki kraju straciłaby ona zupełnie swoj właściwy, istotny nervus movens. Czulibyśmy się sami wobec siebie—interesownymi Francja misyjna, znana i ceniona istotnie kolebka idei i organizacyj misyjnych. (Wszystkie trzy Dzieła Misyjne Papieskie we Francji pozostały!) Francja — przodowniczka objawia nam w swych książkach misyjnych pewne odrębne zapatrywania, z któremi warto się poznawać i—mówić światu o własnych, gdyż współpraca ta jest konieczną dla rozwoju akcji misyjnej. **K. B.**

Wiadomości z kraju i zagranicy.

Obrady Zjazdu Episkopatu Polskiego. Tegoroczny zjazd Ks. Ks. Biskupów, jaki się odbył w dniach 26 i 27 b. m. w Częstochowie, rozpoczęty nabożeństwem przed cudownym obrazem Matki Boskiej na Jasnej Górze, zajmował się kilku zagadnieniami z dziedziny życia religijnego i administracji kościelnej. Pozatem ustalił sposoby szybszego wykonania tych artykułów Konkordatu, co do których nastąpiło już porozumienie między Kościołem a Władzą państwową.

Dla instytucyj polskich. kościelnych w Rzymie obmyślono warunki. odpowiednie dla ich utrzymania i rozwoju. Instytucje te cieszą się szczególniejszą życzliwością Ojca św., który pragnie, by dorównały one znaczeniem swojem i użytecznością podobnym instytucjom w Rzymie innych narodów.

Sprawom misyjnym oraz wzięciu w nich przez Polskę żywotniejszego udziału poświęcono szczególniejszą uwagę, podobnie, jak i duszpasterstwu nad Polakami, przebywającymi za granicą. Ta ostatnia sprawa stała się jedną z ważniejszych naszych zagadnień zagranicznych ze względu na wielką iczbę naszych wychodźców i na zachodzącą często niemożność opieki dusz-

pasterskiej ze strony miejscowego duchowieństwa, oraz z powodu deprawacyjnej agitacji, uprawianej między naszymi wychodźcami.

Wreszcie rozpatrywano potrzebę otworzenia lecznic dla chorych i osłabionych księży.

Udział w zjeździe wzięli: Ks. Kardynał-Prymas Hlond, Ks. Metropolita Szeptycki, Ks. Arcybp-Metropolita Sapieha, Ks. Arcybp-Metropolita Jałbrzykowski, Ks. Bp. Wałęga z Tarnowa, Ks. Bp Kocyłowski obrz gr. z Przemyśla, Ks. Bp. Nowak ob łac. z Przemyśla, Ks. Bp Łoziński z Pińska, Ks. Bp Gall, Biskup polowy, Ks. Bp Szelążek z Łucka, Ks. Bp Krynicki z Włocławka, Ks. Bp Łukomski z Łomży, Ks. Bp Tymieniecki z Łodzi, Ks. Bp Okoniewski z Pelplina, Ks. Bp Kubina z Częstochowy, Ks. Bp Lisiecki z Katowic, Ks. Bp Fischer Sufr. z Przemyśla, Ks. Bp Kubicki Sufr. z Sandomierza, Ks. Bp Radoński, Sufr. z Poznania, Ks. Bp Wetmański Sufr. z Płocka.

List Episkopatu Polskiego do Ojca św.

Ojcze Święty!

Biskupi Rzeczypospolitej Polskiej, na doroczną zebrani konferencję w Częstochowie, owem ośrodku najgłębszej czci Bogarodzicy, pragną podzielić się z Waszą Świątobliwością uczuciami, jakie ich ożywiają.

Przedewszystkiem z rozrzewnieniem wspominają, iż upływa 10 lat od tej chwili, kiedy Świątobliwość Wasza jako Nuncjusz Apostolski przybył do ziemi naszej.

Napawa nas radością ta okoliczność, że cześć Marji, wrodzona Narodowi polskiemu, doznała świeżo niemało podniety przez zjazd, który pod przewodnictwem Ks. Prymasa Kardynała Hlonda i ze współudziałem Nuncjusza Apostolskiego odbył się w Wielkopolsce, w Gostyni, z okazji ukoronowania obrazu Madonny. Niemało przyczynią się też do podniesienia ducha i uwielbienia Chrystusa-Króla Kongresy Eucharystyczne, z których jeden pośród tysiącznych rzesz i z wielu Księżmi Biskupami odbył się we Lwowie, drugi, który niebawem rozpocznie się w Łodzi, i trzeci, zwołany do Częstochowy. Zapał, jaki przy tych sposobnościach objawia się u wszystkich warstw bez wyjątku, świadczy wymownie o tem, że duch religijny żywy jest wśród społeczeństwa naszego. Nie ustając w dalszem rozbudzaniu go za pomocą środków zbawiennych, prosimy Waszą Świątobliwość gorąco, upadając na kolana, o błogosławieństwo, które jako rosa niebieska spadnie i ożywi nasze usiłowania.

Świątobliwości Waszej słudzy najoddańsi:

† August Kardynał Hlond, † Andrzej Metropolita Lwowski. † Adam Sapieha, † Romuald Jałbrzykowski, Arcybp Wileński, † Anatol Nowak, Biskup Przemyski obrz.ł., † Józefat Kocyłowski Biskup Przemyski obrz. gr. kat., Leon Wałęga Bp Tarnowski, † Zygmunt Łoziński Bp Piński, † Adolf Szelążek Bp Łucki, † Stanisław Gall Bp Wojsk Polskich, + Teodor Kubina, Bp Częstochowski, † Stanisław Okoniewski Bp Chełmiński, † Arkadjusz Lisiecki Bp Katowicki, † Karol Józef Fischer Bp Sufragan Przemyski, † P. Kubicki Bp Sufragan Sandomierski, † Czesław Sokołowski, Bp Sufragan Podlaski, † Karol Radoński Bp Sufragan Poznański, † Leon Wetmański Bp Sufragan Płocki.

Katolicka Szkoła Społeczna w Poznaniu. Katolicka Akcja Społeczna w Polsce może poszczycić się wielką zdobyczą: dekretem z dnia 13 czerwca 1927 r. powołał Ks. Kardynał Prymas Hlond do życia Katolicką Szkołę Społeczną z siedzibą w Poznaniu.

Celem tej Katolickiej Szkoły Społecznej jest według intencji jej dostojnego założyciela: szerzenie i pogłębianie katolickich zasad społecznych oraz metod działania społecznego, przygotowanie kierowników i współpracowników społecznej akcji katolickiej, popieranie katolickiego ruchu naukowego w tej dziedzinie, utrzymanie bibljoteki społecznej, oraz wydawanie czasopism i innych wydawnictw z dziedziny społecznej. Powstanie swe zawdzięcza ona tym względom, że nasza katolicka akcja społeczna cierpi bardzo dotkliwie na brak odpowiednio przygotowanych i wyszkolonych kierowników i pracowników, czem też należy tłomaczyć różne jej niepowodzenia. Wobec tego stworzenie Katolickiej Szkoły Społecznej jest wydarzeniem wielkiej wagi.

Działalność swą rozpoczęła K. Szkoła Sp. w październiku zeszłego roku; dyrektorem jej został mianowany ks. dr. Edward Kozłowski. Na razie ograniczyła się ona do krótko terminowych, miesięcznych i tygodniowych kursów dokształcających dla różnego rodzaju pracowników społecznych: prowadziła kursy dla kierowników zakładów zamkniętych, kierowniczek ochron, kierowników organizacyj robotniczych, kierowniczek stowarzyszeń kobiecych, oraz kurs charytatywny i wieczorny kurs społeczny dla kobiet. Od 1 października rb. rozszerza szkoła swą działalność, otwierając dwuletni kurs pracy społecznej dla tych, którzy tę pracę społeczną chcą sobie obrać jako zawód życiowy. W pierwszym rzędzie ma ten kurs zaspokoić potrzeby katolickiej akcji społecznej i charytatywnej; program jednak nauk uwzględnia także potrzeby wszystkich innych dzieł społecznych, czy to państwowych, czy samorządowych, czy prywatnych. Na kurs ten przyjmuje się osoby obojga płci (na razie) z ukończoną szkołą średnią, ogólnokształcącą, względnie zawodową, lub też z dłuższą praktyką społeczną, wykazującą według uznania dyrekcji Szkoły odpowiednie przygotowanie umysłowe. W drodze wyjątku przyjmuje się też osoby, nie odpowiadające ani jednemu ani drugiemu warunkowi, które złożą egzamin wstępny.

Po bliższe informacje o tym kursie należy się zwrócić do Sekretarjatu Katolickiej Szkoły Społecznej w Poznaniu, ul. Podgórna 12 b., załączając znaczek pocztowy.

Potrzeby akcji charytatywnej w Polsce. Międzynarodowa konferencja katolickich organizacyj charytatywnych, skupionych w „Caritas catholica“, jaka się odbyła w początkach maja r. b. w Lucernie, dała sposobność stwierdzenia, jak wiele u nas w Polsce w tej dziedzinie jest jeszcze do zrobienia.

Ogromne pole otwiera się u nas dla katolickiej akcji charytatywnej. I już znać na niem pewien ruch; szczególnie Poznański Związek Towarzystw Dobroczynności „Caritas" krząta się żywo i może się poszczycić poważnemi rezultatami. Niestety, akcja ta napotyka na jedną wielką przeszkodę: brak należycie przygotowanych pracowników. „Nie wystarcza chcieć, trzeba umieć być miłosiernym".

Cały szereg dzieł charytatywnych wymaga już pracowników, którzy pracę w nich uważają jako zawód życiowy i do swych funkcyj są należycie przygotowani. I dlatego należy z wielkiem zadowoleniem powitać inicjatywę Katolickiej Szkoły Społecznej w Poznaniu, która otwiera w październiku dwuletni kurs pracy społecznej i na kursie tym kształcić chce także przyszłych zawodowych pracowników dla akcji charytatywnej i dzieł opieki społecznej.

Po bliższe informacje można się zwrócić za załączeniem znaczka pocztowego do Sekretarjatu Katolickiej Szkoły Społecznej w Poznaniu, Podgórna 12 b.

Zjazd Związków Sodalicyj Marjańskich w Poznaniu. W dniach od 3 do 5 lipca odbył się w Poznaniu Zjazd Związków Sodalicyj Marjańskich.

Po nabożeństwie inauguracyjnem w kościele farnym wygłoszono w Collegium Minus Uniwersytetu następujące referaty, po wstępnych przemówieniach powitalnych: „O znaczeniu życia wewnętrznego“, „Ubóstwo w życiu Marji i w życiu sodaliski“, „Czystość w życiu Marji i w życiu sodaliski“ „Posłuszeństwo, w życiu Marji i w życiu sodaliski“, „Jak przygotować młodsze uczennice do sodalicji?“ i in. Z pośród mówczyń największe wrażenia sprawiło przemówienie Matki Ledóchowskiej, którą witano niezwykle serdecznie.

Następnie dokonano wyborów zarządu i przeprowadzono zmiany statutu.

Zjazd zakończyło dziękczynne nabożeństwo w kościele farnym w dniu 5 lipca o g. 17 m. 30.

Kurs teologiczny w Płocku. W dniach 3 do 6 lipca r. b. odbył się w Płocku, w Seminarjum Duchownem, kurs teologiczny dla kapłanów djecezji płockiej, któremu przewodniczył J. E. Ks. Biskup Wetmański i ks. prałat Umiński.

Z pośród nader aktualnych tematów podkreślić należy: „Stosunek Kościoła do Państwa“ — ks. prał. St. Figielski, „Program państwowy religji w szkołach powszechnych i średnich“ — ks. prof. St. Jaźwiński, „Główne zasady Tomizmu“ – ks. prof. J. Szydłowski, „O Apokalipsie“ — ks. prof. F. Słonicki, „Liga Katolicka“ — ks. J. Gawlina, dyrektor K. A. P., „O prowadzeniu dusz“ — J. E. Ks. Bp. L. Wetmański, „O transsubstancjacji“ — ks. prof. J. Wójcicki, „Zmiany zaprowadzone przez nowy rytuał polski“ — ks. prof. J. Michalski, „Własność prywatna w świetle nauki katolickiej“ — ks. prof. Fr. Klimkiewicz. „Obowiązki społeczne duszpasterza“ — ks. prał. J. Strojnowski i in.

Posiedzenia odbywały się na sali Biskupów Płockich.

Fundacja kolejowców. Dn. 8 b. m. J. E. Ks. Arcybiskup Metropolita wileński dokonał poświęcenia nowego ołtarza w kościele parafjalnym w Nowej Wilejce (pod Wilnem).

Ołtarz ten, fundowany przez tamtejszych kolejarzy, poświęcony jest czci św. Antoniego z Padwy.

VI Walny Zjazd Koła Ks. Ks. Prefektów archidjecezji wileńskiej. W dniach 8 i 9 lipca r. b. odbył się w Wilnie VI Walny Zjazd Koła Ks. Ks. Prefektów archidjecezji wileńskiej. Na Zjazd przybyło

około 50-ciu księży. Dn. 8 b. m. nastąpiło otwarcie Zjazdu w obecności J. E. Ks. Arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego, Metropolity Wileńskiego. Ks. Arcybiskup w gorących słowach powitał uczestników Zjazdu. Następnie wysłuchano sprawozdania z działalności Zarządu Koła. Zjazd odbył się pod prezesurą ks. kan. Chomskiego, prezesa Koła.

Polskie doktoraty we Francji. Na katolickim uniwersytecie w Paryżu ks. Bross, z djecezji poznańskiej, uzyskał w dniu 27 czerwca rb. doktorat magna cum laude z prawa kanonicznego, zaś ks. Piotr Dragan, z djecezji podlaskiej, uzyskał na uniwersytecie w Tuluzie doktorat z teologji cum laude.

Ks. dr. Dragan objął z dn. 7-m b. m. placówkę duszpasterską w Merlębach w diecezji Metz.

Ustawa o wyznaczeniu stałego dnia Wielkanocy. Angielska izba gmin przyjęła niedawno projekt prawa, według którego Wielkanoc wyznaczona została na drugą niedzielę kwietnia. Decyzja ta nie jest jeszcze ostateczna, musi ją bowiem zaaprobować król.

Można uważać za rzecz pewną, że rząd nie przedłoży królowi tego rodzaju ustawy bez uprzedniego porozumienia się z władzami religijnemi W. Brytanji i z Ligą Narodów. Co się tyczy Kościoła anglikańskiego, to z jego strony nie należy się liczyć ze sprzeciwem, ponieważ arcybiskup z Canterbury miał już wyrazić swą zgodę.

Natomiast nie jest znane stanowisko Kościoła katolickiego. który reformy tej dotychczas nie uznał.

Ks. prałat Szlagowski biskupem. Ojciec św. mianował dn. 9-go lipca biskupem-sufraganem warszawskim ks. prałata dr. Antoniego Szlagowskiego, rektora Uniwersytetu warszawskiego.

J. E. Ks. Biskup Antoni Władysław Szlagowski ur. 10 lipca 1864 r. w Gulczewie w pow. płockim, po ukończeniu gimnazjum w Kaliszu wstąpił do seminarjum duchownego w Warszawie w r. 1881, ukończył je w r. 1886, lecz, nie mając wymaganego wieku, był wyświęcony tylko na djakona i mianowany, kolejno, wikarjuszem w Zgierzu i w Skierniewicach. W r. 1887 udał się na wyższe studja do Akademji duchownej w Petersburgu, gdzie oddał się studjom nad kaznodziejstwem i ojczystą literaturą kościelną. Na trzecim kursie Akademji w r. 1890, był wyświęcony na kapłana przez Biskupa Audziewicza. Po ukończeniu Akademji w r. 1890, ze stopniem magistra św. Teologji, był kolejno wikarjuszem w Warszawie. przy kościele św. Antoniego, św. Aleksandra i św. Jana. W r. 1895 powołany na profesora Pisma św. i kaznodziejstwa do seminarjum metropolitalnego w Warszawie, które to obowiązki spełnia zaszczytnie, ku pożytkowi młodzieży duchownej.

„Encyklopedja kościelna" (w r. 1913), podnosząc działalność kapłańską i profesorską ks. Szlagowskiego, pisze: „Pracując jako profesor nad kształceniem młodzieży, ks. Szlagowski jednocześnie daje jej przykład czynem i życiem swojem. W pracy jest niezmordowany. Działalność jego wyraziła się na polu kaznodziejstwa i w dziedzinie biblijnej". „Kazania ks. Szlagowskiego są sumienne i posiadają taką siłę i bogactwo językowe, że autora ich

słusznie społeczeństwo nasze zalicza do najwybitniejszych polskich kaznodziejów dzisiejszych". Szczególnie na podkreślenie zasługują „Mowy żałobne", wydane drukiem w r. 1909, a mające swe przedłużenie w wydanych niedawno mowach z ostatnich czasów niepodległej już Polski, której dostojny syn głosi cześć w cudownym, na wzór pisarzy złotego wieku, języku, wplatając w nie cytaty z wieszczów naszych. Podnosząc dalej zalety „Konferencji", wygłaszanych w ciągu rekolekcyj w kościele karmelitów i wydanych drukiem, konferencyj o rzekomej niezgodzie nauki z wiarą, prześlicznych „Kazań" na dni Świętych Pańskich, „Kazań okolicznościowych". „Encyklopedja kościelna" stwierdza, że większe jeszcze zasługi dla literatury teologicznej położył J. E. na polu biblijnem. („Wstęp historyczno-krytyczny do Pisma św.", komentarz do „Nowego Testamentu", „Ewangelje i lekcje na niedziele i święta całego roku". Pozatem pisma natury ogólnej: „Życie Leona XIII Papieża" na dzień jego 25-lecia, „Mowy pogrzebowe i przygodne ks. Fab. Birkowskiego"). Był też współpracownikiem (z dziedziny biblijnej) „Encyklopedji podręcznej", współpracował w „Słowie", ogłaszając w niem swoje wrażenia z podróży po Europie.

Oceniając zasługi, położone na niwie kościelnej, ś. p. Ks. Arcybiskup Popiel mianował ks. Szlagowskiego kanonikiem honorowym, a w r. 1907 rzeczywistym kapituły metropolitalnej warszawskiej.

W r. 1910 uniwersytet rzymski „Sapienza" udzielił za prace naukowe tytuł doktora św. Teologji, potwierdzony wkrótce przez senat Akademji duchownej w Petersburgu. W kilka lat potem otrzymał godność prałata.

Godzi się jeszcze przypomnieć, że w r. 1926 senat Uniwersytetu warszawskiego powołał ks. Szlagowskiego na rektora tej uczelni wyższej. Na tem stanowisku, obok przyjaźni członków ciała profesorskiego, zyskał miłość akademików Polaków i szacunek wszystkich bez wyjątku studentów. Wybitnym tego dowodem było uproszenie przez korporację „Aquilonia" rektora Szlagowskiego o przyjęcie godności honorowego jej członka.

Nowemu Biskupowi „ad multos annos"!

Rozwój prac Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego w S. M. P. Związku Wileńskiego. Wileński Związek Młodzieży Polskiej wielką zwraca uwagę na pracę Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej w dziedzinie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, a Komenda Związkowa pod kierownictwem Komendanta Związkowego p. Antoniego Pietraszona, oficera rezerwy, intensywnie dąży do wzrostu stanu ćwiczebnego hufców W. F. i P. W. we wszystkich S. M. P. Ostatnio (16.VII. r.b.) powstały dwa nowe hufce W. F. i P. W.: 1) S.M.P. w Gniłej (pow. Białostocki) w liczbie 20 druhów i 2) S. M. P. w Onżadowie (pow. Wil.-Trocki) w składzie jednej drużyny.

Dzięki pozytywnemu ujęciu akcji W. F. i P. W. przez Związek Wileński przy najbardziej harmonijnej i życzliwej i wzajemnej współpracy z władzami wojskowemi zwłaszcza D.O.K. III Grodno, w najbliższym czasie według rachunku prawdopodobieństwa powstanie silnie zorganizowana kilkutysięczna armja W. F. i P. W. w Stowarzyszeniach Młodzieży Polskiej Związku Wileńskiego.

Nawrócenie nowej parafji prawosławnej Żabocze w Djecezji Łuckiej. Dnia 5 lipca 1928 r. została przyłączona do jedności z Kościołem Katolickim w obrządku wschodnim parafja prawosławna Żabcze powiatu Łuckiego, składająca się ze wsi Żabcze, Smyków i Kozacka Dolina. Parafja ta liczy przeszło 1000 osób. Nawrócenia dokonał Ks. Antoni Rudnicki, który w bieżącym roku został wyświęcony na kapłana dla obrządku wschodniego. Na dzień 12 lipca, w którym wypada uroczystość SS. Piotra i Pawła według starego stylu, zjechało do Żabcza sześciu prawosławnych duchownych ze znanym misjonarzem prawosławnym, Peretruchinem. Wobec zdecydowanego stanowiska ludności, misjonarze ci nie osiągnęli pożądanego dla siebie skutku.

Podczas wspomnianej uroczystości nabożeństwo solenne odprawili księża uniccy: Ihumon Gamaljel, Protojerej Pelipenko, Ksiądz Rudnicki i Ks. Tymczyszyn.

Ludność pomienionej parafji zatrzymała przy sobie dawną cerkiew, zbudowaną w miejsce dawnej cerkwi unickiej i na gruntach kościelnych unickich.

Jest to już 5-ta parafja nawrócona w Djecezji Łuckiej.
